

Nawet gwiazda kabaretu nie lubi, gdy robi się z jej nazwiska prawdziwy kabaret.

Gdzie jest Smoleń?!

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Od czasu, gdy pan Jacek przedstawiony został na plakacie jako J. Pietrzak, by naiwni dali się nabrać na samego Pana Janeczka, nie było jeszcze takiej „podpuchy” w światku estrady i kabaretu. Większość uważa nawet, że numer z Bohdanem Smoleniem jest dużo lepszy. Maluczkę przecież, a byłby z tego numeru wspaniały interes. Nie wiadomo dokładnie, co go zepsuło: czy to, że „podpucha” była już naprawdę zbyt beczelna, czy przypadek, że znaleźli się tacy, którym nie wystarczyły zyski z oszukanego imprezy.

Cokolwiek zepsuło ten świetnie zapowiadający się interes, jedno jest pewne: nie miał on nic wspólnego z osobą Bohda-

na Smolenia, któremu w biały dzień ukradziono nazwisko, co nie zdarza się nawet gwiazdom Hollywoodu!

Ukradzione nazwisko Bohdana Smolenia znalazło sobie bez trudu miejsce na afiszach, wydawało się daleko w Polskę, zarobiło masę pieniędzy, przyniosło furę strat, wyrządziło mnóstwo przykrości i wstydu — i to wszystko bez wiedzy i zgody właściciela!

Czy można się zatem dziwić, że Bohdan Smoleń stanowczo domaga się przeprosin? Nie, tym razem on wcale nie żartuje. Jest najzupełniej na serio. Nawet gwiazda kabaretu nie lubi, gdy robi się z jej nazwiska prawdziwy, bo życiowy kabaret. A powinna, bo dzieją się

wtedy rzeczy, których nie wymyślą najlepsi tekściarze. Po prostu: wesoły kabaret w smutnym kabarecie.

Ten smutny napisany został przez samo życie, które postarało się również o atrakcyjne role. Nie tylko dla aktorów. Pierwsze skrzypce grają w nim bowiem osoby, których miejsce jest normalnie za kulisami.

Ten wesoły kabaret napisany został przez Włodzimierza Adamskiego z Teatru Powszechnego w Łodzi. Zatyłowany jest bardzo aluzyjnie:

„Lot nad wronim gniazdem”
czyli
Szpital dla dorosłych”

4



Teresa Wojtaszek-Kubiak jako Tosca

„Żyję
sztuką,
żyję
miłością...”

rozmowa z TERESĄ
WOJTASZEK-KUBIAK,
solistką Metropolitan
Opera w Nowym Jorku.

Czytaj str. 7

■ Następstwa zabronionych
korepetycji — str. 5 i 13

■ Narodziny perły — str. 1 i 6

■ Kulisy wyboru premiera — str. 3

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 41 (1593)

ROK XXXI

8 PAŹDZIERNIKA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Wycug

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

CZYTAJ STR. 5



A może zaprosić gdyński Teatr Ekspresji do Łodzi?

Narodziny perły

MAREK KOPROWSKI

Na początku lipca 1988 r. w Gdyni zaprezentowano publiczności premierowy spektakl Teatru Ekspresji pt. „Umarli potrafia tańczyć”. Byliśmy świadkami widowiska niezwykłego, ba, wydarzenia artystycznego i to nie w skali Trójmiasta czy Wybrzeża, ale, sądząc, całego kraju. Twórca Teatru Ekspresji, Wojciech Misiuro, ma wszystkie dane po temu, by stać się w obrebie sztuki, która „mówi” w poszukiwaniach nowego języka artystycznego, kimś w rodzaju Grotowskiego. „Mówi” zostało wzięte w cu-

dzysłów, gdyż teatr ten nie używa słów. Nie jest jednak baletem ani pantomimą, ani teatrem ruchu czy tańca. To znaczy: jest i nie jest. Jego język dopiero się tworzy poprzez poszukiwania, choć już w premierowym spektaklu widać inną sceniczny sposób wyrażenia. „Poszukiwanie się” dowolnymi formami sztuki ruchu sprzyja budowie obrazu scenicznego przedstawienia o różnym poziomie i sposobie narracji, różnej barwie emocjonalnej, o różnym stanie napięcia wewnętrznego — powie Wojciech Misiuro.

Dwuaktowe widowisko z ostrą, niepokojącą, chropowatą muzyką Andrzeja Żmory-Rdul-towskiego, z fragmentami kompozycji „Pancernych Rowerów”, a także W.A. Mozarta i Erika Satie. Jest skierowane do widzów młodej — jeśli idzie o sensy i przesłanie. Mówi się o wszystkim, co może dotyczyć młodych: i tych w czarnych kurtkach, i tych w białych, i tych bez kurtki. O pierwszych unięsienjach, porażkach, sukcesach: złudnych i prawdziwych, o tragedii narkomanii, agresji, o zbieraniu ciałów za imność, o pustocie i samotności. O śmierci wreszcie, no bo czym kończy się każdy żywot? Właściwie trudno nawet powiedzieć, że wymowa jest pesymistyczna. Jest taka, jak życie. Zresztą sztuka nigdy nie oblicywała optymizmu

6

XIII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku

Tęsknota za wielkim światem

MACIEJ ŚWIERKOCKI

XIII Festiwal PFF w Gdańsku odbywał się w Gdyni. Już od samego początku dostrzegano to licznych gości zagranicznych, nie przyzwyczajonych do naszych paradoksalnych realiów, i przyniosło także pecha organizatorom. Teatr Muzyczny w Gdyni, gdzie odbywały się pokazy konkursowe i specjalne, posiadał wprawdzie wspaniałą salę, mieszczącą 720 widzów, i całkiem przyzwoite zaplecze socjalno-techniczne, które jednak pomimo przykrych doświadczeń z lat ubiegłych i tym razem nie zostało umiejętnie wykorzystane. Na negatywną ocenę, jaką wystawili gospodarzom imprezy zarówno jurorzy, jak też dziennikarze i potencjalni kontrahenci z wielu krajów świata, wpłynęły ponadto liczne błędy popełnione przy układaniu programu Festiwalu, niedbała oprawa (konferansjerka, sposób prowadzenia konferencji prasowych) i niepojęta wręcz niefrasobliwość w posługiwaniu się ponoć nowoczesnym sprzętem audiowizualnym, który z łacie szwajcarską precyzją zawodził na każdej projekcji bez wyjątku. O sensacjach i skandalach, których nie zabrakło, będzie jeszcze mowa. Tymczasem przejdźmy jednak do filmów, niemal wyłącznie decydujących przecież o artystycznym kształcie festiwalu.

Wysoka Komisja Selekcyjna pod przewodnictwem Janusza Zaporowskiego, zastępcy dyrektora XIII PFFF do spraw programowych, zakwalifikowała do konkursu łącznie 26 tytułów, w tym 7 filmów telewizyjnych (początkowo było ich osiem, ale przyjęcie przez Janusza Zaorskiego funkcji przewodniczącego jury spowodowało wycofanie jego filmu „Do domu” z rywalizacji). Równoległe z pokazami konkursowymi odbywały się pokazy wszystkich pozostałych filmów kinowych, wyprodukowanych w okresie między kolejnymi festiwalami, pod szyldem tzw. selekcji informacyjnej, obejmującej dodatkowo 16 filmów. Projekcje konkursowe oceniał jedenastoosobowe jury, w nieco zaskakującym i interesującym składzie, a to ze względu na obecność kilku „niezależnych” reżyserów młodszej pokolenia: przewodniczący Janusz Zaorski, reżyser, członkowie: Filip Bajon, reżyser; Sylwester Chęciński, reżyser; Andrzej Czałbowski, naczelny redaktor Naczelnej Redakcji Telewizyjnych Filmów Fabularnych; Czesław Dondzillo, krytyk; Józef Hen, pisarz i scenarzysta; Jerzy Schönborn, dyrektor Zespołu Programowego Komitetu Kinetografii; Dorota Siałowska, aktorka; Jerzy Tupeł, historyk filmu; Andrzej Żurowski, krytyk.

W ostatecznym rozrachunku liczyły się jednak głosy zaledwie dziesięciu członków jury, a to z powodu tajemniczego zniknięcia Piotra Szulki, który w środę 14 września opuścił Gdynię i zrezygnował z dalszej pracy za zleconym stołem. Oficjalną przyczyną wyjazdu reżysera miało być podobno przemęczenie. Informację tę podano do publicznej wiadomości do-

piero ostatniego dnia festiwalu, a wymordowania do cna filmowym maratonem dziennikarzy przyjęli ją z ironicznymi uśmiechami niedowierzania.

Jeszcze przed uroczystym otwarciem festiwalu dowiedzieliśmy się, że wbrew krążącym uporczywie plotkom nie przyjedzie do Gdyni Roman Polański. Jak poinformował dyrektor Zaporowski, w sprawie sprowadzenia do Polski nowego filmu Polańskiego, „Frantic”, pertraktowano bezpośrednio z dystrybutorem zachodnim, i zakup filmu do ostatniej chwili nie był potwierdzony, zaś wystosowane zaproszenia dla reżysera na cztery tygodnie przed rozpoczęciem festiwalu byłoby poważnym nieaktym ze strony organizatorów. Próbowano dotrzeć do Polańskiego prywatnie, niestety, bez rezultatu. Pod znakiem zapytania stał także przyjazd Agnieszki Holland — po kilku dniach niepewności okazało się, że w związku z produkcją swego nowego filmu musi ona udać się bez zwłoki do Berlina Zachodniego, i do Gdyni w tym roku nie zawita. Przybyli natomiast na festiwal Zanussi i Wajda.

12 września o godzinie 17 nastąpiło uroczyste, oficjalne otwarcie XIII PFFF. Tłumnie zgromadzonym widzom oszczędzono nużących przemówień, pełniący rolę gospodarzy wieczoru Stanisław Michalski, dyrektor teatru „Wybrzeże”, i Maria Mielnikow-Krawczyk, aktorka, zapowiedzieli pierwszy film, i rywalizacja o „Złote Lwy” rozpoczęła się bez przeszkód projekcją „Krótkiego filmu o miłości” w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego. Film ten jest kinową wersją szóstego odcinka serialu „Dekalog”, realizowanego obecnie dla telewizji. Scenariusz zarówno tego, jak i wszystkich pozostałych odcinków „Dekalogu” napisali Krzysztof Piesiewicz i Krzysztof Kieślowski, a występują w nim m.in. Olaf Lubaszenko, Grażyna Szapolowska, Stefania Iwińska i Piotr Machalica. Temat filmu należy do tak zwanych tematów uniwersalnych, choć można żywić niejaki wątpliwość, czy jest to faktycznie film o miłości, a nie na przykład o cynizmie czy też psychice i fizycznej niedojrzałości głównych bohaterów, zimnej, bezwzględnej Magdy (Grażyna Szapolowska) i zagubionego, nieśmiałego Tomka (Olaf Lubaszenko), urzędnego urodą swej pierwszej wybranki do tego stopnia, iż po nieco dyskusyjnym niepowodzeniu próby cielesnego zbliżenia z piękną plastyczką udaje się z placem do domu i podcina sobie żyły w misce z ciepłą wodą, cierpiąc po cichu i w samotności, jak na szlachetnego bohatera przystało. Warsztat Kieślowskiego oczywiście nie zawodził, film jest opowiedziany sprawnie i inteligentnie, ciekawie fotografowany przez Witolda Adama, pochwały zbierał także twórca głównych ról, choć mnie znacznie bardziej podobał się Olaf Lubaszenko aniżeli reklamowa-

6

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretnarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożewski,

Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Garza, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasyl

Kocznów (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Strzyski, Maciej Swierkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa-Książka-

Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-

nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-

zamówionych reklam i zastrę-

ga sobie prawo do skróto-

wa treści ogłoszeń redakcja nie odpo-

wiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach wojew-

ódzkich i pozostałych miastach,

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa-Książka-

Ruch” zamawiają prenumeratę

w tych oddziałach — in-

stytucje i zakłady pracy zlo-

kalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają

prenumeratę w urzędach poczt-

owych i u doręczycieli. 2. Dla

indywidualnych prenumerato-

rów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach,

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa-Książka-Ruch” opłacają

prenumeratę w urzędach poczt-

owych i u doręczycieli, osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach

— siedzibach Oddziałów RSW

„Prasa-Książka-Ruch” opłacają

prenumeratę wyłącznie w urzę-

dach pocztowych nadawczo-od-

dawczych właściwych dla miejsca

zamieszkania prenumeratę

Wpłaty dokonuje się używając

blankietu „wpłaty” na rachunek

bankowy miejscowego Oddziału

RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.

Prenumeratę ze zleceniem wy-

syłki za granicę przyjmuje

RSW „Prasa-Książka-Ruch”

Przegląd prasy

Kościół rzymskokatolicki ma silną pozycję i ogromne wpływy w naszym społeczeństwie. Na lekcje religii w archidiecezji warszawskiej uczęszcza 92 proc. uczniów szkół podstawowych, 87 proc. z liceów ogólnokształcących, 80 proc. z techników i 59 proc. z zasadniczych szkół zawodowych. Ksiądz pralut Edward Majcher twierdzi w tygodniku „LAD” (nr 39), że podobny stan jest w całym kraju. (Z tegorocznego sondażu CBOS wynika, że wierzy i praktykuje regularnie 77 proc. licealistów, 67 proc. techników i 54 proc. uczniów zasadniczych szkół zawodowych — E. L.).

Osoby duchowne wypowiadają się nie tylko w sprawach religijno-moralnych, lecz także społeczno-politycznych. W orga-

nie ZSMP „WALKA MŁODYCH” (nr 39) ukazała się ciekawa rozmowa z księdzem Alojzym Orszulikiem, sekretarzem pomocniczym Konferencji Episkopatu Polski. Na wstępie stwierdził on:

„Biskupi na Jasnej Górze jednoznacznie opowiedzieli się za potrzebą szukania dróg zbudowania pluralizmu związkowego i stowarzyszeniowego. Jest to zresztą powtarzanie wielokrotnie wypowiedzianego głosu — tak biskupów, jak i papieża. Myślę, że bez rozwiązania tego problemu nie da się rzeczowo układać stosunków na terenie zakładów pracy, a także stosunków między władzą a społeczeństwem nie zaangażowanym po stronie partii.

Większość ludzi z kręgu „Solidarności” łącznie z Lechem Wałęsą mówi, iż nie może być mowy o powrocie do dawnych struktur, do dawnych sposobów działania. Upięknio siedem lat, nastąpiły zmiany w myśleniu, przyszła nowa generacja. Ta młoda generacja jest również mocno poirytowana, ale słowo „Solidarność” oznacza dla niej zestaw wartości, z którymi identyfikuje się ogromna część robotników, społeczeństwa. Potrzebna jest nowa formuła, która przede wszystkim nie miałaby charakteru politycznego.”

Związki zawodowe powinny być odpolitycznione. Nie mogą zależeć od jakiegokolwiek partii czy siły politycznej. Zadaniem ich jest troska o warunki pracy i płacy oraz podmiotowe traktowanie robotników. Odpolitycznić trzeba też Związek Harcerstwa Polskiego i organizację studencką.

Wyjście z kryzysu wymaga mobilizacji wszystkich Polaków. Dlatego należy umożliwić działalność różnym stowarzyszeniom (politycznym, społecznym, studenckim, kulturalnym, wychowawczym, religijnym) i pozwolić im wydawać swoją prasę. „Każdy powinien być tam, gdzie czuje się razem z innymi, gdzie jest wśród ludzi o podobnych zapatrywaniach. Przecież partia ma pełne prawo do własnych organizacji, także młodzieżowych. Ale nie może mieć monopolu i kontroli nad wszystkimi, ponieważ jest to fałszowanie rzeczywistości. To społeczeństwo jest z natury, z tradycji historycznych pluralistyczne. Wróćmy do związków zawodowych — nawet zakładając, że należy do nich 7 mln robotników, to jednak drugie 10 mln jest poza związkami. Jeśli nowe związki rozwiążą wszystko, to dlaczego jest kryzys? Dlaczego te związki nie przyczyniają się do zawiązania paktu antykryzysowego, a bronią swojego monopolu? Dlaczego one nie czynią władzy wiarygodną, także w opinii międzynarodowej? Trzeba szukać takiej formuły, aby ludzie nie zrzekli się w obecnych związkach mogli również działać w strukturach zorganizowanych i wspólnie zabiegać o rentowność zakładu pracy. Jeśli przedsiębiorstwo jest nierentowne, to na całym świecie jest oczywiste, że zbankrutuje. Nasi rozmówcy ze strony rządowej wielokrotnie podkreślali, że stoczenia adamskie jest nierentowna. To my się pytamy: po co ją utrzymywać, czemu jej nie przekształcić? Dać robotnikom ultimatum: spróbujcie sami wysunąć propozycje, które uzdrowią przedsiębiorstwo. Nie można sobie pozwo-

lić na ciągłe dotowanie, dotowanie, dotowanie. Skąd władza państwa ma brać środki na pokrycie fabrycznych deficytów i na spłacanie długów zagranicznych?”

Ksiądz Alojzy Orszulik uważa, że społeczeństwo byłoby gotowe ponieść pewne ofiary, ale musiałoby widzieć konkretne perspektywy.

GOŚCIE LECHA WAŁĘSY

Za natychmiastowym wprowadzeniem pluralizmu bez przymiotników i szybką legalizacją „Solidarności” wypowiedziała się grupa intelektualistów, która na zaproszenie Lecha Wałęsy obradowała 11 września br. w salach parafii św. Brygidy w Gdańsku. Tekst przyjętej Uchwały i Oświadczenia oraz listę uczestników wydrukował „PRZEGŁĄD KATOLICKI” (nr 39). W gronie 90 osób znalazło się: 15 publicystów, 9 prawników, 8 historyków, 6 ekonomistów, 5 socjologów, po 4 lekarzy i robotników, po 3 ślusarzy i aktorów, po 2 pisarzy, techników, kierowników, teologów, poetów, rolników, biologów, inżynierów, fizyków, filozofów, poza tym — matematyk, mistrz, technolog, mechanik, kompozytor, elektronik, plastyk, polonista, astronom, biochemik, reżyser, scenograf i student. Kobiet było tylko 13.

Z dość długiej listy sygnatariuszy podam tylko nazwiska osób bardziej znanych. W zebraniu m.in. udział wzięli: Janusz Beksiak, Jacek Bocheński, Stefan Bratkowski, Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Kazimierz Dziewanowski, Marek Edelman, Władysław Frasyniuk, Bronisław Geremek, Cezary Józefiak, Ryszard Kapuściński, Jerzy Kłoczowski, Maja Komorowska, Stefan Kisielewski, Jacek Kuroń, Jacek Kurczewski, Władysław Kunicki-Goldfinger, Marcin Król, Jan Józef Lipski, Bogdan Lis, Witold Lutosławski, Jan Malanowski, Adam Michnik, Artur Międzyzyczki, Tadeusz Mazowiecki, Edmund Jan Osmańczyk, Aleksander Paszyński, Jerzy Puciata, Ryszard Reiff, Zbigniew Romaszewski, Jacek Sali, Henryk Samsonowicz, Henryk Sienkiewicz, Andrzej Stelmachowski, Stanisław Stomma, Andrzej Szczepkowski, Klemens Szaniawski, Józef Tischner, Jerzy Turowicz, Witold Trzciński, Andrzej Wajda, Andrzej Wielewyski, Wiktor Woroszyński, Henryk Wujec, Krystyna Zachwatowicz, Janusz Ziłkowski. W przyjętej przez nich Uchwale czytamy między innymi:

„Żądanie legalizacji „Solidarności” oraz wprowadzenia natychmiast pluralizmu bez przymiotników, uważamy za główny, najpilniejszy warunek rozpoczęcia rzetelnego dialogu między obywatelską opozycją a rządzącymi. Udzielamy więc pełnego naszego poparcia w negocjacjach w tej sprawie twórcom „Solidarności”, laureatom Pokojowej Nagrody Nobla.”

W drugim dokumencie sygnatariusze zwracają uwagę, że tegoroczny ruch strajkowy postulował przede wszystkim przywrócenie „Solidarności” i pluralizmu związkowego. Następną falą strajków może mieć charakter bardziej masowy i dramatyczny.

„Bez szybkiego uznania prawa „Solidarności” do legalnego działania nie będzie możliwe uzyskanie od społeczeństwa, a szczególnie od robotników, kredytu zaufania, niezbędnego dla jakiegokolwiek reform. Istnienie kilku związków zawodowych w jednym zakładzie pracy bynajmniej nie musi prowadzić do zgubnych dla gospodarki konfliktów i liczących rozszew. Przeciwnie, właściwe istnienie autentycznych związków zawodowych będzie warunkowało znalezienie praktycznych rozwiązań, respektujących zarówno wolę załóg, jak interes ogółu. „Solidarność” raz jeszcze udowodniła, że cieszy się społecznym zaufaniem, okazała polityczny rozsądek i potwierdziła, że potrafi kierować się ideą dobra wspólnego.”

WIDZIANE Z AUSTRALII

Zupełnie inny pogląd na rolę „Solidarności” przedstawiła listka do redakcji „TRYBUNY LUDU” (nr 226) Waleria Hys. Mieszkała ona przez 20 lat w Australii i niedawno wróciła na stałe do Polski. Pisze między innymi:

„Moje serce krąży się z żalu, co dzieje się w Kraju. Jakże straszne niszczące ekonomii przez kilka tysięcy rozrabiaczy z „Solidarności”, oplacanych przez Zachód. Do tych należy również Tadeusz Jędrzak, który wrócił z Australii z walizkami pełnymi dolarów od australijskich związków zawodowych.”

Oglądałam w Australii wieczerne wiadomości stacji TV SBS w Brisbane. W dniu 12.08.1988 r. wystąpił Tadeusz Jędrzak przed kamerami telewizji australijskiej w Sydney. Mówił w języku polskim, a jego słowa były tłumaczone na język angielski. Co on tam nie mówił. Groźby pod adresem rządu i własnego kraju. Byłam zdziwiona, że władze polskie pozwoliły na powrót do Polski człowiekowi, który nie tylko przywiózł do Polski czekoladki, dolary, ale i nienawiść do Ludowej Polski. Ja wiedziałam, że Tadeusz Jędrzak nie otrzymał zezwolenia na osiedlenie się na ziemi australijskiej, bo takich w Australii nie potrzebują. W Australii jest coraz mniej strajków. Za strajki właściciel nie płaci. Za odmowę podjęcia pracy właściciel zwraca robotnikom i przyjmuje ich na nowych warunkach. Na kontrakt: nie wolno strajkować, nie ma urlopu, nie wolno mu należeć do związków zawodowych.

W Australii niechętnie przyjmują Polaków z „Solidarności”, mają z nimi bardzo dużo kłopotów, nie wolno im rozrabiać, jak to robią w Kraju. Dlatego T. Jędrzak musiał opuścić szybko Australię z walizką dolarów. Również miliony dolarów płyną na polski kler. Martwi mnie to, że w niektórych polskich kościołach głosi się nienawiść do narodzi polskimi. Propaganda kościelna rozdziela nawet rodziny.”

PRZYKŁAD NORWEGII

Podobnie jak w naszym kraju, Kościół ma mocną pozycję w Norwegii. Grupa aż 94 proc. całej ludności. Nie jest to jednak Kościół katolicki, lecz luterański. Natomiast katolicy żyją tam w diasporze i jest ich tylko 23 100 osób. Na pytanie — czy wierzy w Boga? — twierdząco odpowiedziało: 95 proc. Irlandczyków i Amerykanów, 87 proc. Hiszpanów, 84 proc. Włochów, 72 proc. Norwęgów, 70 proc. Finów, 58 proc. Duńczyków, 52 proc. Szwedów. W krajach skandynawskich przez niemal trzy wieki katolicyzm był zakazany.

Norwegia uchodzi za najpiękniejszy kraj europejskiej Północy. Pod względem dochodu narodowego na mieszkańca zajmuje szóste miejsce w świecie (za USA, Kanadą, Szwajcarią, Szwecją i Luksemburgiem). A jeszcze niedawno Norwegia była ubogim krajem, który w XIX wieku uzyskał pełną niezależność i dopiero w 1905 roku zerwał sztuczną uwięź ze Szwecją. Szybki awans cywilizacyjny dokonał się tam za życia dwóch ostatnich pokoleń. Jak do tego doszło? — wyjaśnia w tygodniku „KIERUNKI” (nr 38 i 39) Jerzy Gruca.

„Źródła współczesnych, XX-wiecznych sukcesów tkwią w rzetelnym wysiłku całego narodu, świetnie rozwijającego się pod rządami socjaldemokratów. Gdy śledzi się wydarzenia w tym kraju, dostrzec można wyraźnie, że tutaj człowiek i jego solidna praca stanowią klucz do osiągnięcia sukcesów całego społeczeństwa i państwa. Wyrośnięty jest dziś poziom codziennego życia wszystkich obywateli, którym państwo jest w stanie zapewnić godziwe warunki życia, nawet gdy znajdują się w jakiejś trudnej sytuacji losowej czy stracą pracę.”

Największą grupą emigracyjną w Norwegii są... Pakiści. Naszych rodaków jest około 5 tysięcy. Polacy stanowią 12 proc. wszystkich katolików. Norwegowie chętnie żenią się z Polkami, ale małżeństwa te przeważnie się rozpadają. Polkom trudno przystosować się do różnych rygorów, wyrzeczeń i braku życia towarzyskiego.

„Pomną 70 proc. emigrujących tu w celach małżeńskich Polak, po krótkim okresie ekscytacji i zafascynowaniu, przeżywa głęboki kryzys i małżeństwa się zazwyczaj rozpadają. Jeśli kryzys ujawnił się zanim upłynę 2 lata, Polkom grozi wręcz deportacja do kraju.”

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

ANDRZEJ BILIK — Dyr. Generalny Komitetu d/s Radia i TV.

— Był to tydzień pracowity i ciekawy, jak dla wszystkich w Polsce, którzy są w kręgu zagadnień politycznych. W poniedziałek odbyło się Plenum KC PZPR, natomiast we wtorek posiedzenie Sejmu i to posiedzenie, które powołało nowego premiera. A więc było to po pierwsze: bardzo ciekawe, po wtóre — bardzo emocjonujące, po trzecie — wymagające od nas, telewizji, siły i środków.

Cały dalszy tydzień był również emocjonujący i pasjonujący politycznie. U nas zaczęła się sprawa bardzo nietypowa: tzn. konsultacje przed utworzeniem nowego rządu i myślenie jako telewizja towarzyszyli nowemu premierowi w jego pierwszych poczynaniach. W ten sposób polskie społeczeństwo mogło — jak ktoś powiedział: niemal jak we Włoszech — zobaczyć jak wygląda konsultacje przed powołaniem nowego gabinetu.

Druga sfera spraw i zagadnień to sprawy międzynarodowe, którymi się żywo interesowaliśmy. Wiązały się one zwłaszcza z Plenum KC KPZR i posiedzeniem Rady Najwyższej ZSRR oraz zmianami struktur i osób w kierownictwie Związku Radzieckiego, co nas bardzo blisko obchodziło.

A więc to tyle, jeśli chodzi o sprawy polityczne. Ale jesteśmy w takiej sytuacji — mówię o telewizji — że przede wszystkim zajmujemy się polityką. Stąd czasu na inne sprawy nie było. Udało mi się jednak w piątek wieczorem być na koncercie inauguracyjnym nowego sezonu Filharmonii Narodowej w Warszawie po rocznej przerwie. Był to koncert orkiestry i chóru Filharmonii pod dyrykcją Kazimierza Korda, a solistą był Konstanty Andrzej Kulka. Był to koncert wysmienity i cieszę się, że udało mi się być na nim.

JANUSZ NAPIERAŁSKI — Dyr. Naczelny PZF „Cefarm” w Łodzi

— Miniony tydzień był bardzo trudny ze względu na stałe trudności, jakie mamy w zaopatrzeniu aptek w leki. W związku z tym chęci nasze są duże, żeby ludziom chorym pomóc, ale możliwości dużo mniejsze. Nie jesteśmy w stanie zaspokoić potrzeb wszystkich cierpiących. W tej chwili nie najlepiej przedstawia się zaopatrzenie w grupie antybiotyków i grupie zawieszek dla dzieci, nie mówiąc już o opiatkach, których ciągle brakuje. A jak wiemy potrzeby są duże. W ogóle działają leki, to temat rzeka.

Natomiast co się tyczy mojego życia osobistego, to jestem — i to bez kokieterii — zapracowany od rana do wieczora. Najlepiej czuję się na łonie rodziny, wieczorem, bo tylko wówczas mogę się zrelaksować i to słuchając muzyki poważnej. Oczywiście była olimpiada, którą oglądałem fragmentarycznie, bo to przecież wydarzenie raz na cztery lata.

Nie można pominąć też wyboru nowego premiera. Czekam z niecierpliwością na to, jaki rząd zostanie sformowany. I czy nam się będzie działać lepiej. To pytanie przecież zadajemy sobie stale.

ANDRZEJ GRAMSZ — Dyr. Pracowni Sztuk Plastycznych w Łodzi.

— Ten tydzień był bardzo interesujący w wydarzenia polityczne. To, co się stało w Związku Radzieckim, a więc zmiany kadrowe i nominacja Michaiła Gorbaczowa na przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR, to fakty w polityce bardzo doniosłe. To po pierwsze. A po drugie — olimpiada. Siedziałem nocami, oczywiście nie we wszystkie, bo mnie interesowały finały w boksie, gry zespołowe: koszykówka, piłka wodna, lekkoatletyka. Po trzecie: mamy wysyp grzybów. Jestem grzybiarzem i byłem na grzybobranii dwukrotnie. Nabierałem ich sporo, zajęły mi połowę tylnej kanapy w maluchu. I to blisko, w lasach podlódzkich, w kierunku na Łask: wokół Łdzania, Dobronia, Kolumny.

Notował: EUGENIUSZ IWANICKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Była już połowa września i ani śladu azylu. Jan Duch i Georgia zostali wezwani przez sekretarza Komisji do Spraw Uchodźców. Na biurku leżały dwa dość grube tomy zeznań i opinii. Od interpretacji tego materiału zależało, czy Duchowie otrzymają azyl — kolejny odcinek książki ANDRZEJA BRYCHTA.

— Znałem tysiące wybitnych, znakomitych ludzi. Z wieloma się przyjaźniłem. Wszyscy są mi bliscy, chociaż wymarła już cała moja generacja. Pamiętam doskonale Gabriellę Zapolską. To była genialna kobieta. Nie była piękna, ale niesłychanie zgrabna, o twardym bardzo charakterystycznym — wspomina KAZIMIERZ PASZKOWSKI.

— Poznała go na imieninach koleżanki. Miał już trochę w ciu-bie, ale zachowywał się bardzo przyzwoicie. Był przystojny, wysoki, do kłęcia z bajki niewiele mu brakowało. Pod koniec zabawy umówił się z Kasią na spotkanie. Po pięciu miesiącach byli już małżeństwem. Nie wiedziała wtedy, co ją czeka — reportaż BOGUMIŁA A. MAKOWSKIEGO.

— Człowiek, który opuścił zakład karny, na początku nie potrafił się odnaleźć na wolności. Nie wytrzymał długo w zamkniętym pomieszczeniu. W głowie ma pustkę. Towarzystwo stanowią kumple z więzienia — reportaż MARKA BŁASZKOWSKIEGO pt. „Ludzie i frajer”.

— Cierpliwie Dżidżiś H. skończyła się ostatecznie w rok po odwołaniu stanu wojennego. Nie mógł już dłużej beczynnie siedzieć i patrzeć, jak wszystko wokół chyli się ku upadkowi i ruinie — reportaż PAWEŁ TOMASZEWSKIEGO.

— W środę 16 kwietnia 1919 roku o piątej rano Józef Piłsudski dokonuje przeglądu grupy ppik. Beliny, która wyrusza na Wilno. Ma osiemset szabel i dwa działa. Wkrótce po tym moście idzie gen. Smigły ze swymi żołnierzami i cała i dywizja legionów. Niewielkie to sily, a zadanie ciężkie. Opanować Wilno, a droga prowadzi obok Łidy. Czerwonoarmieci w tropili jednak porwując się na Łidę garstkę obdartego, przodzącego w pstrokatę mundur wojaka — fragment książki Cezarego LEZANSKIEGO.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego w świecie ludzi rodzaj żeński tak często i powszechnie uchodzi za zły i grzeszny — artykuł MIROSLAWY SARBINSKIEJ pt. „Seks i przemacanie”.

Był pan inicjatorem powołania Komisji Nadzwyczajnej do Spraw Wdrażania Reformy Gospodarczej. Czy spodziewał się pan wówczas, że ocena wystawiona przez tę komisję przyczyni się w decydującej mierze do dymisji całego rządu?

— Nie przypuszczałem, że wydarzenia potoczą się tak szybko. Nie wiem jednak, czy to komisja właściwie przyczyniła się w decydującej mierze do dymisji rządu. W ocenie komisji, pełnej krytycyzmu wobec sposobu wdrażania reformy, nie znalazł się mimo to wniosek o konieczności dymisji rządu jako całości.

— Dlaczego?
— Uznaliśmy, że sformułowanie, jakoby rząd nie spełnił swego zadania, jest głęboko nieprecyzyjne. Po pierwsze — to nie rząd wyłącznie odpowiadał nam za sferę zarządzania gospodarką. Po drugie — jeśli nawet rząd, to nie w całości, nie wszyscy ministrowie. Trudno na przykład winać ministra A. Krawczuka za „wpadki” związane z reformą. On akurat ma na swoim koncie sukcesy. Tak więc, wniosek komisji mówił jedynie o potrzebie głębokich zmian w rządzie.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że gdyby nie oświadczenie premiera Messnera o dymisji gabinetu, mogłoby nie dojść do zmiany rządu, a jedynie do zmian na niektórych stanowiskach ministerialnych?

— Przejdźmy teraz do sprawy powołania nowego premiera. Czy kandydatura Mieczysława F. Rakowskiego była dla pana zaskoczeniem?

— O, tak. Przypuszczałem, że będzie to raczej ktoś związany z ideą okrągłego stołu. Oczywiście, wymieniono go wśród innych kandydatur, jednak wydawało mi się, że ma mniejsze szanse. Z tego, co się orientuję, podobnie myśleli inni posłowie.

— Kogo zatem wymieniano najczęściej?

— Nie chcę podawać nazwisk. Po prostu dlatego, że nie było u nas jeszcze takiego zwyczaju, i — przynajmniej — nie bardzo wiem, czy publiczne rozgłaszanie tych nazwisk nie sprawi, że osoby te poczną się urażone. Samo podanie, że rozprawiano o zaletach kksa na urzędzie premiera o niczym jeszcze nie mówi, skoro nie wiadomo, czy prowadzono z nim poważne rozmowy, jakie postawił w nich warunki itp.

— A nie sądzi pan, że przebieg konsultacji na temat wyboru kandydatury premiera powinien być podawany do publicznej wiadomości, i to łącznie z ujawnieniem nazwisk?

— No cóż, nie ma jeszcze w Polsce instytucji prezydenta, który mógłby się zajmować uzgodnieniami międzypartijnymi. Jeżeli jednak przyjrzymy się demokracjom zachodnim, to również tam nie ujawnia się przedwcześnie kandydatury. Powtarzam: tak ważne decyzje muszą zapadać na wysokim politycznym szczeblu, i dopóki nie

Z tej ziemi.

Jak kucharka może rządzić państwem?

Nie wiem, jak to nazwać, ale obserwuję coś takiego, jak rozdział odpowiedzialności. Ludzie nauczyli się, że wszystko jest moje i często interweniują, dzwonią, listy piszą, że gdzieś rozkradają budowę, niszczą drzewa, samochód stoi pełen różnego dobra i wydaje się nie mieć właściciela i tak dalej. To wszystko, w obronie czego występują, nie jest bezpośrednio ich, ale oni nauczyli się, że „to jest nasze”. I w obronie tego „naszego” występują. Jest to jakby odpowiedzialność konkretna, choć za wspólne dobro.

Z drugiej strony ludzie, którym dano do ręki stery dla kierowania przedsiębiorstwami, a zatem i dano im też konkretną odpowiedzialność, dopuszczają do ogromnych strat, konkurują w niegospodarności i marnotrawstwie, pozwalają niszczyć maszynom spowodowanym za dolary. I nikt ich za to nie karze. Są jakby poza wszelką odpowiedzialnością. Przedziwne to zjawisko i nie dziwię się, że może ludzi drażnić i oburzać.

Piotr Bugajski z tego oburzenia biorąc inspirację, napisał do mnie list z licznymi pretensjami. Pisz on: „W odpowiedzi na krytykę E. Stanczykiewicza takich przedsiębiorstw, które przez podniesienie cen osiągają wysokie zyski, L. Włodkowski wystąpił w obronie dyrektorów. A więc należy im dawać w nagrodę odznaczenia?” A wcale tak nie było. Istotnie E. Stanczykiewicz miał za złe dyrektorom, że przez stale podnoszone ceny dąży do osiągnięcia wysokich zysków, i oplatę się im obniżyć produkcję. Coś się wreszcie w Polsce oplatę, choć nie w tę stronę. Ja też tym dyrektorom mam to za złe. Ale Piotr Bugajski jakby nie dostrzegł, że E. Stanczykiewicz domagał się, aby wicepremier Zdzisław Sadowski nakazał takich dyrektorów zamykać w więzieniu. Po uprzednim procesie sądowym — oczywiście. I przeciw temu byłem i jestem, bo to nie usuwa przyczyn złego zjawiska, tylko skutki. Z wielkim hukiem odwołano kilku dyrektorów i prezesów za złe zaopatrzenie i co? Zaopatrzenie się poprawiło? Nie. Takie demonstracje niczego nie zmieniają, bo zmieniać nie mogą.

Wiem, że ceny i płace to temat najboleśniejszy, bo dotyczy każdego z nas w różnym stopniu. Piotr Bugajski pisze między innymi, że „są sygnały, że renciści i emeryci nie mają za co na kartki żywności wykupić, a gdy zechcą sprzedać kartkę lub inaczej zahandlować, to są na nich różne paragrafy”. Wiem o tym, ale nie uważam, że jak się zamknąć w więzieniu kilku dyrektorów, to zaraz się emerytom poprawi. Ci dyrektorzy, którzy poprzez podnoszenie cen

zamiast produkcji osiągają zyski, korzystają z mechanizmów, jakie zostały oficjalnie uruchomione. Można powiedzieć, że korzystają z nich albo że nie te mechanizmy uruchomiono, które trzeba było.

Jeśli więc Piotr Bugajski uważa, że bronieniem dyrektorów, to mogę się nawet z tym zgodzić pod warunkiem, że bronieniem ich przed zrzucaniem na nich winy za niezawinione grzechy. Nie oni te mechanizmy uruchamiali. Oni z nich po prostu korzystają. A to nie jest przestępstwo. Przy czym dzięki tym zyskom mogli dawać ludziom wyższe zarobki.

Włodzimierz Lenin proponował, aby każda kucharka umiała rządzić państwem. Być może w ówczesnych warunkach możliwe było takie zarysowanie perspektyw, być może w ogromnym skrócie publicystycznym usiłował nam zasugerować kierunek postępowania, którego nie potrafimy odczytać, być może odczytujemy to w sposób zbyt dosłowny i uproszczony. Świat idzie bowiem w specjalizację i to coraz więcej pojmowaną. Politycy muszą otaczać się coraz szerszym gronem specjalistów — doradców. A z drugiej strony wołamy o prawo do zrzeszania się, aby każdy mógł w jakimś stopniu mieć wpływ na jakąś dziedzinę życia, wołamy o to, aby człowiek był podmiotem życia politycznego czy społecznego, a nie przedmiotem manipulowania przez polityków. Chodzi zatem, aby każdy z nas w taki lub inny sposób miał wpływ na politykę, na kształt i losy państwa.

Przecież Leninowska kucharka nie musi zaraz zasiadać na fotelu premiera, ale powinna w jakiś sposób — poprzez samorząd na przykład wybory, plebiscyty, udział w pracach organizacji różnorodnych, związków zawodowych i tak dalej — mieć na politykę niemały wpływ.

Ja też jestem za tym, aby ludzie mieli wpływ na politykę państwa i to niekoniecznie przez strajki. Ale, jak zachodzi tego potrzeba, to i strajkom nie jestem przeciwny. Uważam natomiast, że każdy z nas powinien mieć trochę pokory wobec polityki — a nie polityków — a ta pokora powinna wyrażać się w wypowiadaniu poglądów przemysłowych, podejmowaniu działań dobrze rozważanych, to znaczy takich, przy których działający potrafili ogarnąć wyobraźnią pełną skalę skutków. Uważam, że ludzie powinni mieć możliwość myślenia, wyrażania poglądów i podejmowania inicjatyw w sposób swobodny, ale takich inicjatyw, które służą społeczeństwu i państwu, a nie szkodzą.

Piotr Bugajski uważa, że

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Potrzebny jest rząd fachowców

Mówi poseł **ANDRZEJ GAWŁOWSKI**, przewodniczący Zespołu Poselskiego m. Łodzi.

— Posłowie zwolnieni zostali z dyscypliny partyjnej, mogli więc decydować, kierując się własnymi przemyśleniami, rozważając rzecz całą we własnym sumieniu. Doszło wtedy do kilku poselskich wystąpień, które zachwiały — w moim odczuciu — powszechną z początku opinię, że rząd trzeba bezwzględnie zmienić. Wypowiedzieli się posłowie (m.in. Mikołaj Kozakiewicz) znanymi w przeszłości z krytycznego nastawienia. Tym razem — nie szczędząc krytyki pod adresem rządu — zwrócili jednak uwagę, że na działalność Rady Ministrów wpływają bezpośrednio decyzje i dyktando czynników politycznych. W tym sensie można powiedzieć, że Rada Ministrów nie jest w Polsce w pełni suwerenna. Nie będąc w pełni suwerenną, nie może też być w pełni odpowiedzialną za niepowodzenia reformy. Nie tyle więc — zdaniem niektórych wpływowych posłów — należy zmienić rząd, co raczej zapewnić mu trzeba niezależność działania, przynajmniej w ramach określonej strategii.

— Powiedział pan, że wyczuwało się po tych wystąpieniach zmianę opinii. W czym się to przejawiało?

— Proszę pana, oprócz sali poselskiej, są jeszcze kuluary...

— Czy wątpliwościami posłów należy wythmaczyć fakt, iż po dyskusji, a przed podjęciem ostatecznej decyzji, zebrały się w przerwie raz jeszcze kluby poselskie?

— Myślę, że tak. Uczestniczyłem w zebraniu klubu poselskiego PZPR, w czasie którego premier Z. Messner ponowił swą prośbę o dymisję. Poparli ją również I sekretarz, Wojciech Jarużelski.

— Nie odebrał pan tego jako nacisku, wbrew wcześniejszym postanowieniom o głosowaniu bez instrukcji?

— Jest rzecz zupełnie zrozumiała, iż podobne decyzje, jak ta o dymisji rządu, zapadają na wysokim politycznym szczeblu. Tak dzieje się we wszystkich krajach. Chciałbym jednak, aby w przyszłości procedura ich podejmowania była na tyle sformalizowana i jawna, żebyśmy — jako posłowie — nie dowiadywali się o zamierzonych dymisjach gabinetu przed samym posiedzeniem Izby. Oczywiście, nie było to dla nas zupełnym zaskoczeniem. Posłowie partyjni oczekiwali tego rodzaju decyzji po VIII plenum. Mimo to, kropka nad „i” nie została przecieć postawiona. To naturalnie dobrze, partia nie ma prawa wyręczać Sejmu. Chodzi mi tutaj jednak o pewną procedurę, pozwalającą na wcześniejszą orientację i namysł.

zapadną, potrzebna jest z natury rzeczy tymczasowa dyskrekcja. Chodzi tylko o to, by nie przedłużać jej niepotrzebnie. Myślę, że w tym wypadku nie popełniono takiego grzechu, zważywszy na pożądaną szybkość podjęcia decyzji. To zaś, że byłem zaskoczony kandydaturą M. F. Rakowskiego wcale nie znaczyło, że jestem jej przeciwny. Nowy premier ma opinię człowieka bardzo stanowczego.

— Jak rozumieć koalicyjność rządu, który premier zamierza sformować?

— Mam pewne obawy co do utworzenia rządu koalicyjnego. Uważam, że rząd w obecnej sytuacji powinien składać się z fachowców. Czy ministrowie, desygnowani do rządu przez partię polityczną, na zasadzie uzgodnionego współdziału w rządzeniu okazały się wystarczająco kompetentni? Oczywiście — mogą być fachowcy reprezentujący poszczególne partie. Ważna jest jednak kolejność k. yteriiów: najpierw kompetencja, później reprezentowanie określonej siły politycznej. W przeciwnym wypadku mam wątpliwości, czy rząd zapewni sobie niezbędną jedność działania, zgodność celów i metod ich osiągania. Mam wątpliwości, czy taka jedność zapewni przedstawiciele rządzącej koalicji, jeśli zwycięży kryterium przynależności. Nie mówię już nawet o ewentualnym udziale w rządzie osób z kręgów opozycji, a przecież wiem, że niektórym osobom z tych kręgów uczyniono już stosowne propozycje...

Jest jeszcze jedno pytanie, które sam sobie stawiam: jaki będzie kształt systemu politycznego w Polsce lat 90-tych. Wiadomo, że kadencja Sejmu kończy się mniej więcej za rok. Mówi się w związku z tym o nowej ordynacji wyborczej. Wydaje mi się, że musimy koniecznie uniknąć niebezpieczeństwa, do którego trochę się ostatnio zbliżyliśmy; żeby — mianowicie — Sejm nie stał się widowiskiem politycznych fajerwerków powodujących, że będą zapadać decyzje przypadkowe, zależne od chwilowej koniunktury, nastroju chwili itp. Dlatego myślę — konieczna jest procedura pośrednicząca pomiędzy partiami a Sejmem — choćby w postaci urzędu Prezydenta.

**Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI**



Foto: Grzegorz Golasinski

A w programie, proszę bardzo:

— elektrowstrząsy erotyczne
— kaftan bezpieczeństwa
— bicz wodno-kanalizacyjny
— jak wyleczyć się z rozumu?
— oraz inne atrakcje w wykonaniu personelu i pacjentów naszego szpitala.

Tak właśnie zaprezentowany został kabaret na prawdziwym, oficjalnym plakacie, gdyż jest także — uwaga! — plakat nieoficjalny, odbity na kserografie z mazakowego oryginału. Przedstawia on program kabaretowy z Łodzi zgola inaczej. Zamiast aluzji, wali się wprost, wielkimi literami:

"Kabaret „Docent”
Smoleń
Strip-tease"

W cieniu Wielkiego Smolenia widnieją już całkiem skromnie — dopisane małymi literkami — nazwiska rzeczywistych wykonawców, aktorów Teatru Powszechnego z Łodzi. O tym, że ich nazwiska warte są jedynie smutnych liter, dowiedzieli się zdumieni aktorzy dopiero na miejscu, w jednej z miejscowości województwa śląskiego. Tak przynajmniej utrzymują.

Nieprzejawnie zrobiło się jednak wcześniej, jeszcze na dworcu w Łodzi. Aktorzy spodziewali się, że Agencja Impresaryjna Uni-Art, aranżująca występy na Pomorzu, zadba o rezerwację przedziału. Rozczarowanie spotkało ich w momencie, gdy rozpoczęła się generalna szturmowa na pociąg, zaś pani Marzena Pawlicka, towarzysząca ekipie kolporterki z Uni-Artu, wyznała rezolutnie:

— No, panowie, do roboty, liczę na wasze silne ramiona!

Pani Marzena przeliczyła się jednak, aktorzy nie mieli ochoty na szturmowanie przedziału, znaleźli się przeto wszyscy na korytarzu, choć i to dobre, że przynajmniej w pierwszej klasie. Nie wiadomo, jaki byłby finał tej podróży rano w Uście (pierwszego dnia miały się odbyć z „marszu” aż trzy imprezy) gdyby nie zaradność pani Marzeny: chłopakom z zajętego przedziału rozdała po dwie paczki „fajek”, a oni zgodzili się ustąpić miejsca...

Z Uskii podjechali taksówkami do Siemierowic, gdzie odbył się pierwszy występ. Najzupełniej udany — podkreślają zgodnie łodzianie. Aktorzy nie wiedzieli nie jeszcze o Smoleńcu, publiczność zachowywała się spokojnie, nie było żadnych pretensji. Co innego twierdził pani inspektor ds. teatru z Łęborka (podaje za bydgoskimi „Faktami”):

— W Siemierowicach udawano ciekawość na spożycie Smolenia. Posłała nawet plotka, że leży pijany w krzakach przy drodze.

Pomilmy tę opinię jako osobobną. Niech tak już zostanie, że pierwszy występ był bez zarzutu, skoro łodzianie są w tej materii zgodni. Uszanujmy ich zgodę, bo po występach w Łęborku zmieniła się ona w pretensję i wzajemne oskarżenia, a pod koniec wyprawy każda ze stron przedstawiała swą własną, jedynie słuszną wersję wydarzeń.

W Łęborku, od razu, jak tylko wysiedli z taksówki wyczułi, że publiczność nastawiona jest na zupełnie innego artystę.

— Gdzie przywieźliście Smolenia, w bagażniku? — przywitał ich żartem.

Jeszcze większe niezrozumienie sytuacji wykazała pani dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury. Zamiast, zgodnie z przyjętą w branży metodą postępowania i estradowym obyczajem, spróbować wyjaśnić nieporozumienie, dogadać się jakoś z wykonawcami, narobiła niepotrzebnego krzyku. Zdała się jednak, że nie miała innego wyjścia, bo w Łęborku przed wejściem do MOK wisiało już ogłoszenie, czarno na białym podające do publicznej wiadomości, iż przyjedzie kabaret... Bohdana Smolenia.

— Wykonali je na własną rękę, z nadmiaru inicjatywy — tłumaczył pocieczy zamieszanie w Łęborku pani Marzena — Nikt im przecież nie mówił, że to będzie kabaret Smolenia...

Zrobiła się nerwowa atmosfera. Nikt nie wiedział, do czego będzie zdolna potężnie zawiedziona publika, gdy okaże się, że nie wystąpi Smoleń, tylko jakiś kabaret „Szpital” alias „Docent”. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca, zjawili się w komplecie całe rodziny, wydając po kilka tysięcy złotych, byle tylko obejrzeć z bliska Gwiazdę... Gdyby zdolano przewidzieć, że łódzki kabaret spodoba się, że publiczność nie

będzie wcale agresywna... Ale kto wiedział?

Przed publicznością wystąpił więc najpierw Mieczysław Gajda, aktor Teatru Powszechnego. Twierdził, że z własnej inicjatywy, oburzony matactwami pani Marzeny, których nie może zrozumieć. Pani inspektor ds. teatru z Łęborka powtarza jednak, że to ona zażądała uprzedzenia publiczności.

— Szanowni Państwo — zaczął pan Gajda — nie mamy nic wspólnego z Bohdanem Smoleniem, który nie ma nic wspólnego z naszym kabaretem. Nie wiemy, dlaczego go oczekujecie...

Publiczność dowiedziała się też, że jeśli ktoś czuje się zawiedziony, może wyjść i oddać bilety. Kilka osób wyszło od razu, a inne... pozostały do końca, podziwiali występy, bardzo im się one podobały — przekonują reporter „Odgłosy” Mieczysław Gajda i Marzena Pawlicka, wyjątkowo w tym

zwłaszcza kiedyś alkoholici...

Po pechowym Łęborku kabaret „Szpital” (albo „Docent”) wystąpił w kilku mniejszych miejscowościach na Pomorzu. Wszędzie — podkreśla pani Marzena — było znośnie, a nawet zupełnie nieźle. Aktorzy, bardzo zdolni, wypadli znakomicie, publiczność była zachwycona, jeżeli zaś wznoszono pojedyncze okrzyki protestu (!) — Gdzie jest ten Smoleń?! — to tylko na początku występu, dopóki nie przekonano się na własne oczy i uszy o naprawdę wysokim poziomie kabaretu z Łodzi. Zresztą, trzymano się już procedury z Łęborka, sprzedając od razu widzów o nieobecności Gwiazdy.

Zdarzało się wprawdzie niekiedy, że kierownicy domów kultury domagali się wyjaśnienia, ale rzecz cała dawała się szybko wygłodzić, zwłaszcza przy kojącym działaniu białek z szampana.

Pani Gajda również pamięta,

mając bilety, gdyż — jak twierdzi — podarł je ze złości (...). W tej sytuacji obiecał im tym, którzy zapłacili, że otrzymają specjalną rekompensatę.

A efekt:

— Nie podpisaliśmy dokumentu o odbyciu imprezy, nie zapłacimy.

— A jednak zapłacili! — twierdzi kategorycznie pani Marzena, która nie może zrozumieć, jak można tak przesażać na łamach „Faktów”. Nie wierzy, że społeczeństwo kłapało z oburzenia. Widziała przecież reakcję widzów: była pozytywna. Może jednak potem — zastanawia się — ludzie zaczęli w domach kombinować, że dostaną zwrot pieniędzy za bilety?

Pozostaje faktem, że po Łęborku rozdzwoniły się telefony. W miarę kolejnych występów, było ich coraz więcej. Widzowie telefonowali do urzędników, urzędnicy powiadamiali

— Jak w teatrze — komentuje aferę Mieczysław Gajda — reżyser źle ustawił aktorów, ale to oni zbierają cież od krytyków.

Dyrektor Lewkowski rozumie rozgoryczenie aktorów, ale zarzuca, wobec Uni-Artu zdecydowanie odrzuca. Firma jest początkująca, to prawda, lecz prowadzi ją osoba z doświadczeniem w branży. Nie ma pojęcia, skąd właściwie wziął się Smoleń. Nigdy nie było o nim mowy. Wszystkiemu jest winna Marzena Pawlicka, osoba z pozoru sympatyczna, lecz w gruncie rzeczy sprytna, która z siebie tylko wiadomych powodów wymyśliła Gwiazdę. Może — domyśla się dyrektor — chciała przez to więcej zarobić? Lecz przecież i tak należało się jej 10 procent od wartości sprzedanych biletów, czyli — jak na taką trasę — około 200 tys. zł.

— Dostała plakaty — zaznacza — których wcale nie poka-

szefów od kultury na Pomorzu napomknęła, iż kto wie, może się jednak ten Smoleń pokaże osobiście. Możliwe, że żartowała w ten sposób również przy innych okazjach. Nie myślała, że fama pójdzie tak szybko, a niektórzy porobią sobie własne ogłoszenia i afisze (gdzie będzie jeszcze więcej od tego, co powiedziała) albo specjalne bilety na Smolenia jak w Szczecinku.

— To jest ryzyko zawodowe — mówi — gdyby nie takie chwytli, czy udałoby się sprzedać imprezę w sezonie, w atrakcyjnych miejscowościach? Proszę pana, jakie tam były wcześniej atrakcje, jakie zespoły!

Finał afery jest taki: straty finansowe Uni-Artu wynoszą w sumie 1,2 mln zł (nie zapłacone imprezy, odwołane występy), pani Marzena winna jest kasie ponad 450 tys. zł, pracownicy Agencji od dwóch miesięcy żyją bez pensji (?), straty moralne firmy to utrata zaufania dużej części klientów, obywatele śląskiego utracili z kolei zaufanie do placówek kultury, zaś aktorom pozostał silny kac.

Teraz Uni-Art zapowiada, że zaskarży do sądu panią Marzenę, ta zaś pokazuje dziennikarzowi oświadczenie, w którym grozi podaniem do sądu Agencji, jeśli nie zwróci się jej kosztów eskapady. Placówka przecieży reprezentacyjną czekoladę i za kwiaty dla kierowniczek, za szampany, za taksówki dla artystów — i to wszystko na rachunek!

— Nie przywiozłam niczego, jestem bez grosza — wyznaje dramatycznie, zduszonym głosem.

Co się stało z sumą kilkuset tysięcy złotych za imprezy w Szczecinku, której zwrotu domaga się Uni-Art?

Została podobno w tym przemłym miasteczku, gdzie urządzono sobie „lewe” częściowo imprezy. Słowo „częściowo” znaczy tu po prostu, że na „lewo” podzielono się tylko forszą z nieoficjalnej nadwyżki widzów, uzyskanej przez dostawienie krzeseł. Po co więc te pretensje, skoro chodzi o „lewe” pieniądze?

Całą sumę pani Marzena zobowiązała się zwrócić w miesięcznych ratach. Dlaczego?

— A pan myśli, że jak oni będą chcieli, to nie podadzą mi do sądu? Proszę pana, w tej branży zawsze się coś na człowieka znajduje...

Wtajemniczeni w sprawy branży twierdzą po cichu, że oprócz imprez częściowo „lewych” planowano też trzy całkowicie „lewe” występy, organizowane bez jakiegokolwiek wiedzy organizatora, czyli Uni-Artu. Po wpadce ze Smoleniem zrezygnowano z tych dodatkowych dochodów.

Kabaret wrócił z Pomorza, kabaret wystąpił wkrótce w Łodzi. Znowu będzie świetny ubaw, zachwyceni widzowie, humor, ale i nostalgia, jak ta na przykład, za wata:

„A ja plusję na dolary nawet w listku bym chodziła
była w kraju był cieplejszy
nieco klimat
Dawne żale rzucę w dal
Ot na zimę zwykły szal
Tylko waty, tylko waty, tylko waty

Tylko waty żal!
I nikt tylko jakoś, psłakrew,
nie żałuje Bohdana Smolenia.

ANDRZEJ
GEBAROWSKI

PS. Pani Ewa Szyndlaer z firmy Markteam poinformowała nas, że Bohdan Smoleń zamierza wkrótce wystąpić do sądu przeciwko Agencji Uni-Art. Domaga się również zadośćuczynienia w wymiarze finansowym — na cel społeczny, który sam wskazała. Firma Markteam wystosowała natomiast pismo do wszystkich wojewódzkich wydziałów kultury w Polsce, iż jest jedyną reprezentantką interesów artystów.

Przy zbieraniu materiału wykorzystalem informacje zawarte na łamach „Faktów” nr 43/88, w artykule Piotra Szymańskiego „Kup pan Smolenia”.

Gdzie jest Smoleń?!

zgodni. Lecz mów, jak na złość, przeciwnego wprost zdania jest nie wymieniona z nazwiska pani inspektor ds. teatru, łodzianka, podająca za „Faktami”:

— Po paru minutach wyszli następni, widownia topniała. Strip-tease przeważał sale — wyszła połowa publiczności.

— To prawda — prosiła „Fakty” Marzena Pawlicka — że strip-teaz był wyjątkowo słaby, ale był to naprawdę jedyny słaby punkt kabaretu, który w całości — był pierwszą klasą!

Bawiono się więc — w wersji podanej przez łodzian — znakomicie. Ludzie dość szybko zapomnieli o Smoleniu, zrozumieć łódzki kabaret, bo taki był życiowy, Ostro też był, polityczny, a ludzie to zawsze kupią. Nie oszczędzał nikogo, ani niczego. Nawet uszu Urbana:

„Widzę Panu w zoo z rozpaczą zdechł stoł, bo się dowiedział, że ma mniejsze uszy od...”

— Wiem!!! To był stoł indyjski i dowiedział się, że ma mniejsze uszy od afrykańskiego”.

Ubaw był również wielki, gdy wysmiewano się z pana Marka, walczącego z alkoholizmem: „Raz wróbelkę elemielek Chciał nauczyć się LITEREK więc go wypili szymbielitko Flaszki rzucił lewą ręką W prawą rękę wziął wróbelkę Mocno ścisnął ją za czoło... Lecz nie wyszło biedakowi Jakiś morał trzeba zrobić: „Oj, nie wszystko po twojej woli

że wielu kierowników, śmiejąc się wyrozumiale, zapewniało:

— To są stare numery. Myszmy od początku wiedzieli, że Smolenia nie będzie.

Gdzieś tam jednak trochę przeholowano. Na przykład w Szczecinku. Przed imprezami, które kupiono od Uni-Artu ryżem, panienki-bileterki wydawały bilety na Bohdana Smolenia we własnej osobie, nie na żaden tam kabaret. Wiedzieli, że przeholowały — zapewnia pani Marzena — bo zgodzili się później stać przy wejściu, grzecznie przepraszając wchodzącą na salę publiczność.

Nie jest więc wcale takie pewne, czy zdziwienie kilku urzędników od kultury wystarczałoby na to, żeby z nieobecności Gwiazdy zrobić aferę. Potem, gdy afery nabrąją rozpędu, wprost brakowało im sił swego oburzenia. Być może jednak wszystko byłoby dobrze, to znaczy po cichu, gdyby nie ona, ta grzeszna w sumie pomorska publiczność, która przestała być grzeszna dopiero po występach.

O ile bowiem artystów przyjmowano z respektami, a oglądano z ciekawością, o tyle po występie, gdy opuścili już miasto, wzbierała fala społecznego oburzenia. Było tak na przykład w Łęborku:

— Od poniedziałku zaczęły się zbiorowe ataki na Miejski Ośrodek Kultury — podaje „Fakty”. — Wyzwano nas od najgorszych, grożono, grożono i jeszcze raz grożono. Niektórzy przychodzili po pieniądze, nie

zwierzchników, ci z kolei swoich zwierzchników, wszyscy zaś poczęli wydzwaniać do Uni-Artu w Łodzi. Firma zmieniła właśnie siedzibę (z powodów — usłyszałem — niezależnych od afery), trudno więc było znaleźć kontakt. Niektórym się udało.

— Zaczęły do nas docierać sygnały — mówi dyrektor Agencji, Jacek Lewkowski, — że coś tam w Ślupsku jest nie w porządku. Padło nazwisko Smolenia, co nas zupełnie zaskoczyło.

Dyrektor Lewkowski oznajmił mi, że chodzi o kabaret według tekstów Bohdana Smolenia. Kazał zanotować na karteczce to wszystko, co napisalam później na swoim odręcznym plakacie: kabaret „Docent”, Smoleń itp. Przecież tam nigdzie nie pisze, że Smoleń jest wykonawcą!

Dyrektor Lewkowski nie słyszał powyższych słów, lecz gdyby słyszał, z pewnością stanowczo by zaprzeczył. Bydgoskie „Fakty” podają jednak, że pani inspektor z Łęborka zadzwoniła do Agencji jeszcze przed występiami i...

— ...mówiłam wyraźnie do niego, że chodzi o reklamę występów Smolenia. Niczego nie zdementowałam.

Pani inspektor nie orientuje się, kim był ten „on” po drugiej stronie słuchawki. Dyrektor Lewkowski przebywał wtedy na urlopie, więc nie mógł rozmawiać z Łodzi.

Pani Marzena przyznaje, że w jednej rozmowie z którymś z



Rys. Janusz Seymański-Ołone

Jesteśmy tylko ludźmi

ZOFIA KĘDZIORA

W poprzednim numerze „Odgłosów” wydrukowany został list zarzucający mi, że w artykule pod tytułem „Korepetycje nie są zabronione” („Odgłosy” 1988.07.02) minęłam się z prawdą. Przyznam, że list ten bardzo mnie ucieszył, dał bowiem szansę powrotu do sprawy Agnieszki.

Agnieszka nie była uczennicą ani dobrą, ani złą, miała jednak tatę, co nie jest niczym wyjątkowym, ale jej tata miał prywatny warsztat, a to nie jest już takie powszechne.

Prywatny warsztat oznacza dla wielu pieniądze, a także, że rodziców stać na korepetycje dla dziecka. Pozostaje jednak kwestia nakłonienia ich do tego wydatku.

W przypadku Agnieszki scenariusz miał być następujący: składa oświadczenie, że nie będzie w tym roku zdawać matury, za co nauczyciele zobowiązują się przez cały następny rok udzielać jej korepetycji, tak, że z maturą w przyszłym roku nie będzie już problemów.

Agnieszka, zagrożona utratą wzroku nie mogła jednak pozwolić sobie na strata roku. Lekkarze nie dawali gwarancji, że jej choroba nie pogłębi się. Stąd chęć i mobilizacja dziewczyny, aby za wszelką cenę maturę zdać.

Jej wysiłki szły jednak na marne. Często żaliła się, że im więcej pracuje i umie, tym jest surowiej oceniana.

Na miesiąc przed egzaminem dojrzałości matka Agnieszki została poproszona do szkoły na rozmowę.

— „Złożono mi następującą ofertę — mówi matka Agnieszki — po uzyskaniu w 1988 roku świadectwa ukończenia szkoły córka miałaby pobierać korepetycje z języka polskiego u polonistki, z historii u pani od historii oraz z propedeutyki nauki o społeczeństwie i języka rosyjskiego u dyrektora szkoły, który uczył zresztą „geografii”.

Nie zgodziła się.

— Wobec tego — mówi dalej matka Agnieszki — po moim wyjściu ze szkoły przedstawiciele rady pedagogicznej, a więc dyrektor, pani od historii i polonistka, czyli wszyscy ci, którzy chcieli w przyszłym roku udzielać Agnieszce korepetycji zdecydowali się porozmawiać bezpośrednio z nią. Latwiej jest dziewczynę przestraszyć i zastraszyć. Odbili więc zdecydowaną rozmowę z Agnieszka, żądając od niej tego, na co ja nie wyrażałam wcześniej zgody. Nie zawahali się nawet postawić kłamstwem. Głównym argumentem było bowiem twierdzenie, że „matka już się zgodziła, teraz jeszcze ty musisz zaakceptować tę decyzję, a na maturę spotkamy się w roku 1989”. Wszystko to miało być dla jej dobra.

Po tej rozmowie Agnieszka doznała szoku. Próbowala popełnić samobójstwo.

Przeżyła spowodowały u niej załamanie nerwowe, do matury nie uczestniczyła w zajęciach. Do egzaminu dojrzałości jednak przystąpiła, mimo że musiała brać, przepisane przez lekarza środki uspokajające.

Matury nie zdała. Symptomatyczny jest jednak fakt, że jeden z nauczycieli, członek komisji egzaminacyjnej odmówił podpisania oceny niedostatecznej pod jej pracą maturalną z historii. Napisał nawet oświadczenie: „Po zapoznaniu się z pracą pisemną Agnieszki (nazwisko pominięte) wnioskuje o wystawienie oceny jeszcze dostatecznej. Motywuję to tym, że zawiera szereg elementów świadczących o znajomości tematu, ale pisana była w stanie skrajnego stresu. Jest mi do wiadomości, że uczennica ta włożyła godny najwyższego uznania wkład pracy przez cały rok szkolny. (...)”.

W moim artykule nie chodziło o udowodnienie, że praca Agnieszki nie była na dwójkę, ale jeszcze na ocenę dostateczną, chodziło o ukazanie metody.

Pewnie wszystko ułożyłoby się dalej po myśli nauczycieli, sprawa nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie pech. Zwyczajny pech, trafili bowiem na matkę, która postanowiła dochodzić sprawiedli-

wości. Zaraz po maturze, 16 maja 1988 roku złożyła skargę w kuratorium i ... no, właśnie i nie. Mimo że przeciw dyrektorowi szkoły i nauczycielce historii przedstawiała bardzo konkretne zarzuty działania wbrew etyce nauczyciela (oprócz tego, że kilka razy była zaproszona do Wydziału Oświaty na rozmowy wyjaśniające, podczas jednej zapytano nawet „po co zawiadomiła prasę”) nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Koleżanki z pracy mówiły: „zobaczysz, nauczyciel nauczyciela nie da ruszyć”. I zobaczyła. Po trzech i pół miesiąca czekania nie ma już wątpliwości, że jest to gra na zwłokę, że dąży się do wyciszenia sprawy.

Tym bardziej, że gdy do Kuratorium wpłynęła skarga matki innej uczennicy tego samego liceum i w podobnej sprawie (również dotyczyła matury, drukowaliśmy ją również w „Odgłosach”), ani matka, ani córka nie zostały nawet zaproszone na rozmowę do Wydziału Oświaty w celu wyjaśnienia tej sprawy.

Można powiedzieć, że mimo milczenia władz oświatowych sprawa Agnieszki ma jednak swój dalszy ciąg.

Nauczyciel, który zdecydował się zaprzestować wobec niesprawiedliwości została... zwolniony. Począł przysłać mu zawiadomienie podpisane przez dyrektora. Tego samego dyrektora, który zawsze w awaryjnej sytuacji, gdy trzeba było na przykład douczać tuż przed maturą klasę, bo stwierdzono duże braki, właśnie do tego nauczyciela zwracał się o pomoc. Nigdy zresztą nie spotkał się z odmową. Niby zwolnienie odbyło się zgodnie z prawem. Nauczyciel historii, już na emeryturze, pracował w tej szkole na pół etatu, więc umowa z nim musiała być co najmniej przedłużana. W tym roku nie była.

No, ale zwolnienie koronnego świadka to jeszcze nie wszystko.

Następny krok, to zasugerowanie społeczności szkolnej, że: „Tak, to był zasłużony pedagog, ale przeważliłwiony. Cóż, nie można mieć pretensji, starszy człowiek...” Albo: „Co? Święty? A wiecie, że właśnie on brał od matki Agnieszki łapówki. Forse wziął, obiecał, że dziewczyna zda maturę, więc jak się nie udało, trzeba było jakoś sprawę odwrócić”. Historyk nadal we wspomnieniach swoich uczniów obdarzony jest sympatią, ale ziarno nieprawdy już zostało być może zasiane, tym bardziej, że nieobecni nie mają racji, nie mogą się bronić. Niedobrze tylko, że obiektem manipulacji jest w tym przypadku młodziak.

Co jednak dalej? Najlepszą metodą obrony jest atak, można więc przysłać list pełen słów oburzenia przeciw wyciąganiu sprawy na światło dzienne i jednocześnie laurkę wobec osób zainteresowanych,

aby nie ujawniać sprawy Agnieszki.

Dobrą okazją do zaaranżowania takiego listu jest na przykład obóz, na którym odpoczywają uczniowie i absolwenci szkoły.

List, który nadszedł do redakcji, wydrukowany w poprzednim numerze podpisał niemal wyłącznie uczniowie z klasy, w której pani od historii była wychowawczynią i nieliczne osoby z innych klas. Z klasy Agnieszki nie podpisał się nikt, a dość znamienity jest chyba fakt, że klasa ta już po zdaniu matury postanowiła nie kupować kwiatów ani panu dyrektorowi, ani pani od historii. Co to znaczy, wie zapewne każdy nauczyciel. Widocznie nie było w ich kontaktach z klasą czegokolwiek, za co klasa ta chciałaby im podziękować.

Wspomniany już list jest jakby nie o temat. Nie ustosunkował się do treści mojego artykułu — sprawy dziewczyny, popchniętej do samobójstwa, ale odpowiadał na ewentualne zarzuty co do atmosfery panującej w szkole. A zarzuty takie, choć mogły, w moim tekście nie padły.

Autor listu zarzuca mi (uważam bowiem, że to nie młodziak go pisał), że nie dość starannie zamaskowałam które to liceum. W zaprzeczeniu nie zauważył, że nie podawałam nie tylko dzielnicy, ale również nie wskazywałam miasta, w którym szkoła się znajduje. Nigdzie nie pisałam, co jest szczegółem identyfikującym, że dyrektor jest młody i od niedawna pełni w szkole tę funkcję.

Autor zapomniiał również, że nie jest powszechnym zwyczajem w szkołach, aby uczniowie mieli wgląd do dzienników i kart ocen, a jak sugeruje stopnie Agnieszki były w szkole znane. Jest to o tyle dziwne, że Agnieszka nie zna większości z tych osób, które list podpisały, jest więc prawdopodobne, że i one podpisując nie wiedziały o kogo chodzi.

Zaniepokoić może jednak jeden fragment listu: „Pani profesor (...) nauczyła nas (...) z radością życiowej”. Oby słowa te nie były prawdą.

P.S.

Gdy zadzwoniłam do dyrektora szkoły, chciałam dać mu szansę wypowiedzenia się na łamach gazety (nie udało nam się jednak spotkać) zapytał: — No i co, dzwoni pani, aby mnie przeprosić?

Otóż nie, Panie Dyrektorze. Nie mam powodów, aby Pana przepraszać.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Wieżę o ucieczce Mikołajczyka powtarzano sobie z ust do ust. W pierwszych dniach sierpnia był to temat numer jeden. Ludzie gadali: uciekł, bo miał nieczyste sumienie. Ktoś puścił plotkę, że w lasach się ukrywa. W Płocku jest — upierali się inni. Tak twierdziła też milicja. Nikt jednak nie znał całej prawdy o Stanisławie Mikołajczyku. I nikt nie próbował jej dociec. Ludziom wystarczało to, co mówiła Dzięgiewska. A mówiła im straszne rzeczy.

Póki mieszkali razem pod strzechą, jakoś było. Jeszcze babcia żyła. Spała w kuchni na kozetce. Młodzi i matka — w izbie. W dzień objali się o siebie co chwila, ale nie było rady. I tak dobrze, że Stasiu ściany polotał, sionkę przystawiał... Bo chałupa nie widziała chłopca ze dwadzieścia lat. A ci, co przychodzili, to całkiem nie po to, żeby coś przy niej zrobić.

W listopadzie osiemdziesiątego trzeciego urodziła się Grażyna. Za niedługo on dostał robotę w petrochemii przy pompach i spod Raciąży przeniesli się pod Płock. Bliżej, nareszcie sami...

W fabryce mieli dawać mieszkania. Podobno szybko. Zapisali się. Dali hotel rodzinny — na razie. Po Półkach i Maszewie to już było coś. Tylko łazienka wspólna. Ale można się było dogadać, więc nie narzekali. U matki ani na

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Wycug

(1)

stancji nie mieli przecież nawet takiej. Jak by nie patrzeć, szli w górę. Jeszcze jeden krok, a będzie już swoje. Cieszyli się. Ela zaczęła robić. Spodobało się jej to miastowe życie. Nie zdążyła go jednak dobrze zakosztować. Najpierw, bo mąż kazał się zwolnić, że niby jak ma szkołę, dobry fach w ręku, to rodzinę sam utrzyma, a kobiecie najlepiej siedzieć w domu, co świętą prawdą się okazało, gdy przyszła na świat druga córka, Iwona. Potem — przez matkę, bo w głowie im zawróciła: a to, że na wsi lepiej, że babcia tęskni za wnuczką, a to znów, że dziadek im zapisze i kiedyś się pobudują. Różne były namowy. Dość, że skuteczne i w końcu wrócili na Półka, na Eli matkowiznę, czy raczej — babkowiznę, bo jak przyszło co do czego i poszli później do reagenta, to się wydało, że dziadek i chałupa jeszcze przed wojną na panienskie nazwisko świętej już wtedy pamięci babki pisana. Dopiero trzeba było wszystko prostować, księgę wieczystą zakładać, podatki popłacać... Razem tyle, co by za drugą działkę dali. To i matka miała swoją i oni swoją, a tak sobie nawet myśleli. Ale że już się stało, trudno. Chciała matka dać, to wzięli. A że u reagenta zapis zrobiła, że jakby co kiedy postavili, jeden pociąg będzie dla niej, to czemu nie. Zgodzili się bez jednego słowa. No bo w czym by to im przeszkadzało?

Dwudziestego dziewiątego lipca Stanisław Mikołajczyk zrozumiał, że zbliża się jego koniec. Czuł to już wcześniej, ale jeszcze miał nadzieję, jeszcze liczył, że coś się może zmienić i mimo wszystko zdolać się jakoś porozumieć, ułożyć. Wierzył długo, chciał wierzyć, że to możliwe. Z dnia na dzień robiło się jednak coraz gorzej.

Bronił się, jak umiał, prosił o pomoc, pokazywał, że ręce ma czyste. Na próżno. Nikt nie dawał wiary. Prawie całe otoczenie było już nastawione, każdy jego ruch — śledzony, a milicja tylko czekała na odpowiedni moment, żeby go zamknąć. Wiedział, że jeśli zostanie, kiedyś jej się to w końcu uda.

Ledwie przepisał działkę, już zaczął starać się o materiały. Co mógł, załatwiał od ręki. Niech leży. Bo gdy ruszy za budowa, wszystko zaraz potrzebne. A jak ruszy, pociągnie, żeby w rok, dwa do nowego wejść. Stara chałupa przecież się wali, córki już trzy, a i Urszula tylko patrzeć, jak do szkoły pójdzie.

Na jesień osiemdziesiątego trzeciego załatwił fundamenty. Od wiosny robił pustaki, bo ojciec żuł dał; murował piwnice... Niewiele, ale coś już było widać, choć szło jak po grudzie. Głównie — że wciąż brakowało pieniędzy, a biednemu zawsze wiatr w oczy. Szczęście tylko, że o pomoc nie musiał się prosić. Od początku do końca miał wsparcie w rodzinie, która ani w gotówce, ani w naturze, ani w robocie nie żałowała na ten nowy dom. Tak samo sąsiedzi — jak trzeba było, przysili. Bez łaski: oni jemu, on im... Zawsze w zgodzie żyli. Aż tu nagle...

Spaliła się stara chałupa. W październiku osiemdziesiątego czwartego to było. Przyjechali z elektrykiem prąd naprawiać, bo się linka, co idzie od stupa, zerwała. Zamiast wymienić całą, zwłaził tylko, posztukowali, no i niedługo przetrzało się wszystko, a iskra poszła prosto na słomiany dach.

Po pożarze „Mikołaje” z córkami i matką zostali prawie tak, jak zdążyli wybiec na podwórko. Z pogorzeliska nie było co wybierać. A tu zima za pasem i nie ma co przyodzierać, gdzie przed mrozem schronić, na czym i pod czym spać... Prawdziwe nieszczęście, że tylko się na rowie i płakać. Bo żeby choć dom był już przykryty, żeby choć surowe mury... Ale to dopiero same piwnice. Spojrzeli i niedowierzaniem — czy można żyć w pustej, nie wykończonych piwnicy?

Nie mieli innego wyjścia. Od góry ocieplili ją deskami, papa, gałkami z lasu, co za płotem. Do środka wstawili piec, dwie wersalki, które ocalały i to, co podostawali z jego zakładu, od rodziny i od dobrych ludzi. Z czasem nabierało się tego nawet trochę; tapczan i krzesła od kościelnego z Raciąży, kredens, łóżka, szafa i stolik od Kopcińskiego, druga szafa,

tapczaniki, koldry i pościel od Płockiego Kombinat Budowlanego, ubrania od ciotki Teresy, potem — komplet mebli kuchennych od ciotki Krystyny, lodówka od brata, Leszka... To z grubszych rzeczy, bo z drobniejszych, trudno spamiętać, co kto dał. Ważne, że z serca. No i tak jakoś przetrzymali.

Najmłodszą, kilkumiesięczną Justynkę wzięła do siebie do Płocka babcia Zosia. Starsze dziewczynki babcia Jadzia zabierała czasem do Raciąży, do znajomych. Najwięcej do Chmielowskich, u których sama nieraz i po parę dni siedziała. Lepiej jej tam było, a i zięć mógł wtedy wyciągnąć się na łóżku, bo tak to spał na podłodze. Piwnica ciasna, zimna, mroczna, wilgotna... Żyli tylko myśli: byle do wiosny. Wiosną odetchnęli. Najgorsze przeszło. Latem stanęły mury pod dach, tak że przed następny mrozami mogli już przenieść się do pokoi. Pachniało dopiero co nałożonym tynkiem, nie było w nich jeszcze podłóg, ale im zdawało się, że to raj.

Matce dali na razie najmniejszy od południa, trochę niewygodny, bo musiała przechodzić przez pokój dzieci, ale w tym, co był dla niej szykowany, z osobnym wejściem z korytarza, leżało jeszcze drewno, narzędzia... Potem się ją przeprowadzi, postanowili. Po wykonczeniu całości. No, tak dobrze to jeszcze w życiu nie mieszkala.

Stanisław Mikołajczyk nie zastanawiał się zbyt długo, co robi. Wziął z domu parę najpotrzebniejszych rzeczy i — byle dalej. Czuł, że to ostatnia chwila, że dłużej już nie wytrzyma. Gdy zamykał oczy, widział tylko czarną otchłań, w którą zaraz runie. Tego najbardziej się bał.

Gdy odnalazł w Łodzi ciotkę Teresę, nie potrafił powstrzymać łez. Wysłuchała go ze współczuciem, ale też ochraniała zdrowo. Mimo wszystko, nie powinien był zostawiać żony i dzieci. Mężczyzna tak nie postępuje! Chociaż w tym wypadku... Kto wie? Potem obiecała pomoc. Ale najpierw musi znaleźć jakąś pracę. Bez tego nie ma tu czego szukać!

Po urodzeniu się czwartej z kolei córki zwątpili, że mogą mieć jeszcze syna. Szukali go w sobie, nie znaleźli — wola Boża. Ale ich wola szukać go teraz gdzie indziej, choćby w domach dziecka. Tak sobie przysięgli i nie było między nimi żadnej o to niezdoby Marzenie o chłopczyku od dawna już nie dawało obojgu spokoju, a pożar starego i budowa nowego domu odwlekały tylko jego spełnienie, ale przekreślić tego nie poradzili.

Młodszy brat Stasia, Janek też miał czwórkę dzieciaków. Miał — bo mu je odebrano. Bratowa po porodzie zapadła na głowę, on — renlista po „hajnemedynie”, więc — powiedzieli w opiece społecznej — nie mogą wychowywać. I tak najstarsza trafiła do przyszłokolnego internatu w Płocku, a pozostała trójka — Grażynka, Przemek i Renatka — do domów dziecka w Kutnie i Lucieniu. Smutna sprawa — mówiono po rodzinie — smutniejsza jeszcze, że nie razem, bo nie dosyć, że bez rodziców, to nawet bez rodzeństwa... Jakże tak? Ale szczęście w nieszczęściu — Stasiu i Ela. Po co brać obce? — przemysleli wszystko i szybko zdecydowali, że choć chcieli tylko syna, to w takich warunkach wezmą całą trójkę. Grzech by było zostawić dziewczynki. Miało być pięć, będzie siedem — niewielka różnica. Z siódmką też na pewno dadzą sobie radę.

Brat Janek był zachwycony — zawsze to rodzina, a nie jacyś obcy ludzie. Towarzystwo. Przyjaciół! Dzieci też nie miało żadnego „ale”, a sprawdziło wszystko, co tam trzeba: w domu, szkole, zakładzie, w tym — jak to się mówi — środowisku... Jeździła taka starsza pani i wszędzie zaglądała, pytała, bo w nieodpowiednie ręce nie dają. Rodzina zastępcza musi być czysta, jak iza. Ale najwięcej chyba cieszyli się dziewczynki. Jak je przywieźli w maju — będzie już dwa lata temu — od razu zaczęły im mówić: mama, tata. Same z siebie, bo nawet Ela prostowała najpierw, że ciocia. Nie było dyskusji — mama i już. Teraz też inaczej nie powiedzą, chociaż znają prawdziwych rodziców i czasami ich widują. Przyjeły się na Półkach całkowicie, a i oni już myślą o nich: swoje.

Pewnie, że nie było im wtedy lekko. Nigdy nie było. Spalić się, pobudować, ubrać i wykarcić siedmiorgo dzieci, to nie przelewki. A pensja jedna. No, może z tym, co Stasiu po godzinach dorobił, to tak jakby dwie. Ale i tego przecież nie za wiele.

Na budowę dostali dziewięćset tysięcy kredytu z banku i trzysta pożyczki z zakładu. Ile dolożyła jego rodzina, po prawdzie nikt nie liczył, ale z robocizną — co najmniej drugie tyle. Więcej jak przez dwa lata byli u sąsiadów na pożyczkach. Oddali już wszystko co do grosza. Urządzili się jakoś. Pozakładali podłogi, centralne ogrzewanie. Dwie łazienki, dwie kuchnie, jedna z gazem, w kranach ciepła woda, gdy pała. Telewizor, lodówka, pralka, odkurzacz też w domu jest. Daj Boże innym na Półkach, żeby tak mieli. A wspomnieć starą chałupę i co w niej było, to po prostu cud. Ale co to teraz warte, jak nie ma między nimi zgody.

Stanisław Mikołajczyk nie poczuwa się do winy. Bezdennie rozkłada ręce. Przyznaje, że jego ucieczka nie rozwiązała problemu, bo on tu, rodzina tam — jak żyć w takich warunkach. Ale gdyby został, mogłoby dojść do wielkiej tragedii. Szkoda dzieci. Tych dzieci mu najbardziej szkoda.

Domu też szkoda — włożonej w niego pracy, przelanego potu, radości, że wreszcie jest. Tak pięknie położony: przy drodze, pod samym lasem... Mniejsza jednak o dom. Oddałby go przecież natychmiast za jakieś większe mieszkanie w Łodzi. Płocku, obojętnie gdzie, byle daleko od Raciąży, żeby w końcu był spokojny. Bo tam, to już chyba nie ma dla niego życia.

CDN

„Przedstawienie autorskie Wojciecha Misiura jest próbą wypowiedzi artystycznej skonstruowanej na bazie nowych środków wyrazu. Jego tematyka nieustannie oscyluje między Thanatosem a Erosem. Ludzie nie podlegają Historii tylko Biologii, ich przeznaczeniem jest: przyjscie — przeżycie — odejście. Śmierć jednostki w niczym nie zmienia perspektywy społeczeństwa-mrowiska. Człowiek umiera, lecz gatunek zostaje, dlatego też śmierć i przemijanie nie mają dla twórcy spektaklu wymiaru tragicznego. Czasem jednak z mrowia beładnie bieżących owadów wyławiamy jednego — kierując nań obiektywem uwagi i świadomości. Tylko w kręgu między obserwatorem a obserwowanym może dokonać się proces poznania innej istoty. Intymność kontaktów, zmniejszenie odległości „miedzy ludzką” — „miedzy owadami” — uszczelnia, iż wszystko czego nas uczono, przed czym ostrzegano uległo degradacji. Poszukując

— Wszystko, co dzieje się w wspólnym pantomimie, przypomina się, porównuje i odnosi do Tomaszeńskiego. Tak jest od wielu lat. Robiłem kiedyś choreografię do jakiegoś przedstawienia teatralnego i próbę obserwacji własnej Henryk Tomaszeński. Po tej zakończony podszedł do mnie i powiedział:

— Proszę pana, ależ to nie ma nic wspólnego ze mną!

— Proszę głośno powtórzyć ja mu na to.

Tomaszeński powtórzył i był to pierwszy mój sukces w poszukiwaniach czegoś nowego i wielki komplement.

Misiuro zapala papierosa, pali zresztą jednego po drugim:

— A klasyczna szkoła baletowa, która wszechwładnie obowiązuje w naszym kraju, to groza — tu zabawnie pokazuje, jak „klasyczny” w identyczny sposób prezentują radość, smutek, złość itd. — Nie uczy ich się ekspresji. Wszyscy są ted-

wróć w przód. Zwykły: w subperspektywizacji, gdy ciało doświadcza doświadczenia posuwającego się do przodu, a musi być kontrolowane, by ręka gdzieś tam beładnie nie odstąpiła czy noga, by w najtrudniejszym momencie, na plecach, ani o włos nie przyspieszyła... Spróbujcie zresztą sami... I to się wspaniale udało.

— Nie mogło się nie udać — mówi Misiuro — pracowaliśmy nad tym trzy miesiące.

3 miesiące pracy nad 3 minutami! Tak się dochodzi do perfekcjonizmu, to jest właśnie zawód, to jest profesjonalne podejście do wykonywanej pracy.

— Nareszcie — powiedział pewien mój kolega, gdy mu o tym opowiadałem — bo już nie można patrzeć na tych różnych nieudanych od góry do dołu i słuchać wiecznych wykrętów i narzekania, że czegoś się nie da.

Kiedyś „kat” Wagner dzięki morderczej pracy zdobywał z siatkarzami olimpijskie złoto i mistrzostwo świata. Dziś „kat” Misiuro dzięki morderczej pracy osiąga wielki sukces artystyczny.

Teatr Ekspresji stoi na początku swojej artystycznej podróży. Wiele się może zmienić — na pewno — zmienić. Ale, właśnie: teatr czyli instytucja. Jak sobie z tym radzi artysta?

— Ja tworząc spektakl, tworzę dzieło sztuki. Tak jak, na przykład, artysta malarz. I nie mnie wtedy nie obchodzi jakieś przepisy, paragrafy, preliminacje zezwolenia. Nie chcę i nie będę tego robić. Ktoś się tym jednak zaimie, bo u nas wszystko musi być podporządkowane formalnościom i przepisom.

Na szczęście jest taki ktoś. Patronem i sponsorem Teatru Ekspresji jest **Gdyńskie Młodzieżowe Centrum Kultury**, którego prezes **Barbara Burczyk** wie co robi, lansując zespół i jego szefa. Będzie też to wynagrodzone z pewnością. Dziś zespół dysponuje salą prób, gdzie szlifuje następną widowiskową (to dopiero ma być bomba!) i pojeżdżone z nim tam, dokąd zaproszą.

Przed kilkoma laty w „Odgłosach” trafnie przepowiedzieliśmy sukces teatru **Andrzeja Dziuka z Zakopanego**, grubo przed twórcami warszawskimi i — nawet — krakowskimi.

Teatr Wojciecha Misiury ma jeszcze większe możliwości sukcesu — i to sukcesu międzynarodowego. Nie ma tu bowiem barier języka mówionego. Ten, którym on się posługuje, rozumie cała Ziemia. I nie mam wątpliwości, iż niebawem świat wyciągnie ręce po Misiura i jego zespół.

A może, zanim tak się stanie, zaprosimy Teatr Ekspresji do Łodzi? Mam przecież wielki Teatr Wielki i dyrektora **Slawomira Pietrasa**, znanego wszem menażera. A menażer powinien mieć wchłonięte podobać opisywanemu zapachy — co skromnie podpowiadam, niefachowicie przecię.

Znając jednak życie wiem, że dopiero wtedy, gdy z Paryża, Rzymu, Londynu dobiegną wieści o sukcesach Teatru Ekspresji — otworzymy iamy i wytrzeszczymy gąły w zdumieniu, że nie zauważyliśmy, iż nad polskim morzem urodziła się prawdziwa perła.

A sukces był ogromny. Teatr rozsadała wielominutowa, aoraca owacja. Część widzów powstała z miejsc. A publiczność była bardzo różna: zbliżona-premierowa, młodzież, starsi krytycy. Chyba wszystkich poniosło. Krzycheł i bili brawo. W istocie, cały zespół zasłużył sobie na to. Dawno, bardzo dawno nie byłem świadkiem takiej reakcji publiczności w teatrze.

Aby zaprezentować widowni możliwości ruchowe członków zespołu i ich sprawność cielesną Misiuro wymyślił 3-4-minutowy przerwany w akcji, gdy cały zespół robi „zwykły” prze-

Tęsknota za wielkim światem

ze str. 1

wana hulaśliwie Grażyna Szapołowska. Innego zdania byli jurorzy. „Krótki film o miłości” zagarnął zresztą największą ilość nagród i podobną się festiwalowej publiczności, jest to bowiem film tradycyjny, pozbawiony dziwności i pretensji do wyrafowanego artysty, prostodusznie wzruszający wzruszonym przesłaniem, które tak długo pozostanie aktualne, jak długo ludzie będą okaleczać psychicznie innych ludzi. Podczas dyskusji po projekcji padały opinie, że oto otrzymaliśmy film klasy światowej (otrzymał nagrodę specjalną na festiwalu w San Sebastian).

Film Kieślowskiego rozpoczął serię awarii aparatury kinowej, zaistniałowej w sali Teatru Muzycznego — nieustannie kłopoty z dźwiękiem, szumy, traski, syk, nieostre obrazy, rwące się jak wiatła nitka taśma — wszystko to dawało o sobie znać przez cały czas trwania festiwalu, i o fiarami niesprawnego sprzętu padały kolejne filmy konkursowe, w tym także drugi na liście „Obywatel Piszczek” w reżyserii Andrzeja Kotkowskiego, opowiadający o dalszych losach bohatera pamiętnego „Zezowatego szczęścia” Munka, działającego już po latach w wyzwolonej ojczyźnie. Piszczek w miejsce Bogumiła Kobiele gra Jerzy Stuh, który wywołuje się z powierzonego mu zadania z dynamiką i zreciznością starego aktorskiego wyjadacza, robiącego dodatnie wrażenie, ale nie wzbudzającego zachwytów. Scenariusz „Piszczka” napisał oczywiście Jerzy Stefanowiński, akcja filmu rozpoczyna się w 1952 roku, kiedy to niesłusznie oskarżony Piszczek trafia do więzienia za współpracę z Intelligence Service, a za oknem szaleje jeszcze stalinizm, pokazany w filmie Kotkowskiego z tragicomicznym przymrużeniem oka. Niebanalna kreacja stworzyła w tym filmie partnerująca Stuhowi Maria Pakulińska, grająca córkę wysokiego dyktatora partyjnego, domagającą się na wiecach reform i prawdy, jednak „Obywatel Piszczek” mimo kilku udanych dowcipów i pomysłowych scen nie dorównuje pierwowzorowi. Film umiejętnie wyreżyserowany i trafnie obsadzony, zdradzający pewne błędne myślenie, ale w sumie zasługujący chyba na nagrodę, mimo stosunkowo niskich ocen, jakie obrażowi Kotkowskiego wystawili eksperci „Gazety Festiwalowej”.

Pierwszy dzień festiwalu zamykał pokaz specjalny **Filmu Festiwalu Teatralnego** II lat temu na ogólnopolskim festiwalu w Warszawie, grafii polskiej a w prezentowanym obecnie publiczności filmie brakujące sekwencje zastąpiono scenami ulicznymi kreowanymi w Polsce roku 1987. Film Zulańskiego nie został zakwalifikowany do konkursu ponieważ, jak oznajmił dyr. Zaporowski, nikt go nie zgłosił. Bez wątpliwości oglądaliśmy najnowocześniejszy film festiwalu, szokujący ekspresyjną formą, niekonwencjonalnym sposobem poruszania się kamery, szepiowską, koturnową manierą gry aktorskiej i niepomaganą wyobraźnią reżysera. Zulański należy jednak do najbardziej męczących twórców kina w ogóle, i ci, którzy nie dotrwali do końca „Diabła” na pokazie „Na srebrnym globie” nie wysiedziały nawet piętnastu minut. Film Zulańskiego stanowił mimo pewnej irytującej niespójności myślowej, trwały wkład w rozwój sztuki filmowej w Polsce, i jego obecność na naszych ekranach z pewnością zostanie przez krytykę dostrzeżona i doceniona. Możemy jedynie ubolewać, że film ten nie został ulokowany w latach siedemdziesiątych, kiedy miał jeszcze okazję na uzyskanie niekwestionowanej wysokiej pozycji na liście prekursorów awangardowych filmów na całym świecie.

Rozczarował „Kingsajz” Juliusza Machulskiego. Jest to zdecydowanie najstarszy film tego reżysera najbardziej infantylny i przestylizowany o najmniej wyrazistym i wyrobionym scenariuszu, choć przyzwoicie zrealizowany i zmontowany. Najbardziej niepokojącym punktem „Kingsajza” była niewatpliwie scenografia co też znalazło odzwierciedlenie w ocenach jury.

Podczas projekcji telewizyjnego „Wielkiego wozu” (reż. Marek Wortman) oraz „Osołomienia” (reż. Jerzy Skwiernia) filmu opartego na biografii Kazimierza Juszyńskiego-Stępskiego, z ekranu wiał nudą. Papierowe, nieprawdziwe, jednomyślarstwo postaci, rażąco sztuczne i nieskładne dialogi, banalna i co gorzej uboga myśl, skutecznie zabijała na powrót wskrzeszone jakimś cudem a-nachroniczne wyobrażenia obu reżyserów o roli i funkcji filmu w społeczeństwie, którego nie mogą już porwać ani przekonać obrazy o jałowym charakterze gazetowych agitek moralnych, pozbawionych oparcia i w wyobraźni, i w rzeczywistości.

Sprawnie i błyskotliwie wykonanym filmem był natomiast „Trójkąt bermudzki” Wojciecha Wojciecha, udany i dowolny polski kryminał zbudowany podobnie jak „Zabij mnie gówno” (reż. Jacek Bromski) według najlepszych wzorów amerykańskich filmów tego gatunku. Kino rozrywkowe reprezentował również „Zabedzi śpiew” (reż. Robert Gliński) z brawurą kreacją Jana Peszka. Film Glińskiego wielu krytyków nie bez racji uznało za jednostronne, za najcięższą polską komedię ostatnich dziesięciu lat, w czym nie miało załug doświadczonego scenarzysty Bolesława Michałka. Nieciekawym tytuł skrywa półtorę godzinę pysznej, pionierskiej zabawy — pionierskiej, bowiem pierwszy to film polski, który z taką swobodą igra znanymi konwencjami kina światowego, i pierwszy, który z niewywioloną pomysłowością automatycznie kpi z filmowej kuchni, i nie rezygnując z odwołań do intelektu widza, zmusza go do zastanowienia nad wyszydzonej zjadliwie realiami naszego życia politycznego i społecznego.

Po ubiegłorocznej „szarży półkowników” goście XIII PFPP mogli tym razem obejrzeć dwa zatrzymane niegdyś filmy: „Wigilie” Leszka Wosowicza, opowiadający o pamiętnych Wigiliach 1981 roku, klaustrofobiczna w atmosferze i o powolnej, paradoksalnej formie, nabytą chyba nużącą i rozwlekłą, oraz „Kobieta samotna” Agnieszki Holland, film prezentowany już w bieżącym roku przez II program telewizyjny. „Kobieta samotna” była w moim przekonaniu najlepszym filmem festiwalu, co jest stwierdzeniem nieco smutnym w wymowie, jako że dotyczy ono filmu nakręconego 7 lat temu. Wyborne kreacje aktorskie Marii Chwalibóg i Bogusława Lindy, oddających głównych ról, w nieoceniony sposób uwiarytelniają głębokie, przejmujące tragizmami oskarżenia o znieczulicę, obojętność i okrucieństwo, których ofiarami i nosicielami bywamy przedziś, czy później wszyscy. Rozgorączczenie i bezsilność bohaterów, żyjących w duchowej i materialnej nędzy, ludzi, którym obiecano raj, a którym ostatecznie odebrano nawet prawo do marzeń, stanowią niepodważalny materiał dowodowy, nie wymagający już objaśniania mowy prokuratora, przerażający niejako sam siebie i zyskujący poetycką rangę wielkiej metafory o niezwykłej sile wyrazu.

Podobnymi walorami humanistycznymi odznaczają się także kolejny film Kieślowskiego, „Krótki

film o zabijaniu”, który zbierał wysokie oceny ekspertów, a oprószony tegoroczną nagrodą w Cannes przyciągnął do Teatru Muzycznego liczną widownię, choć jego kinowa premiera odbyła się kilka miesięcy przed festiwalem. Kieślowski nakręcił pełnometrażowy esej, posługując się przykładem, jakich pełno w każdym podręczniku estetyki, i ułapił w gęstą publiczność, która opuszcza kino zaskoczona naturalizmem poszczególnych scen i oburzająca niesprawiedliwością prawa. Film odniósł sukces i krytycy Kieślowskiego muszą się z tym pogodzić.

Skandalem zakończyła się projekcja filmu „Dotknięci” (reż. Wiesław Saniewski). Kiedy kolejny raz zerwała się taśma, a Fronczewski znów zaczął mówić dziecinny dyszantem, twórca „Nad zoru” zdecydował się przerwać wyświetlanie filmu, tym bardziej, że wcześniej demonstracyjnie opuścili salę jurorzy. Film Saniewskiego pokazano po krótkiej naradzie następnego dnia, ale i tak przeszedł on nie zauważony, choć to pozycja ambitna i znakomicie obsadzona (Fronczewski, Znamachowski, Łukaszewicz, Bardin, Ewa Wiśniewska, Ewa Błaszczyk). Gorycz porażki ośrodków nieco Saniewskiemu dziennikarce.

Z dwóch Witkacych — Jan Nowicki w filmie A. Domallika „Schodami w górę, schodami w dół” i Tadeusz Huk w filmie H. Klubu „Gwiazda Pionu” — znacznie ciekawiej wypadła ten pierwszy, grający postać barwną, acz kaleką i tragiczną, odartą przy tym nareszcie z brązowego patetyzmu, jakim karmi widza H. Klubu. Film Domallika powstał na motywach znanej powieści Chomajskiego i w warstwie treściowej broni się sam — przez dwie godziny oglądamy ostatni dancing w Zakopanem, okraszony pięknymi kostiumami i pejzżami, dancing tchnący nostalgiją i tęsknotą za epoką minioną bezpowrotnie wraz z ludźmi, którzy nadawali jej charakter. Film zaskakująco arytmiczny, łamiący tak znaną dotychczas dotąd kina polskiego monotonię, zrealizowany z szacunkiem wobec widza.

Obraz H. Klubu posiada natomiast ascetyczną oprawę plastyczną i wyróżnia się nieszablonową formą, ale konia z rzędem temu, kto zrozumie cokolwiek z tego filmu nie znającego biografii Witkacego. Zbyt wiele w nim złotych myśli, zbyt wiele nieczytelnych aluzji i odniesień. A jeśli nie jest to film o Witkacym, to jest to film o nikim.

Nie spełniły nadziei oczekiwania filmy dwóch mistrzów naszego kina, Wojciecha J. Hasi i Krzysztofa Zanussi. „Niezwykła podróż Baltazara Kobera” w kontekście dawnych dokonań Hasi jest filmem wirtuozym, nie liczącym się zupełnie z marzeniami i wymaganiami współczesnego widza i nowoczesnego kina choć z drugiej strony jest to bezspornie najlepszy film Hasi od wielu lat, powracający stylizacyjnie do znakomitego „Sanatorium pod klepsydrą” czy „Pamiętnika zaległego w Saragossie”. Większych emocji jednak nie wzbudził, podobnie jak nieco żawy i melodramatyczny film Zanussiego o niemożliwym do wymówienia tytule „Gdziekolwiek jest, jest jest” (cytat z jednego z „Trenów” Kochanowskiego). Zbyt natrętna dosłowność niszczy delikatną tkankę tego filmu, miejscami niebezpiecznie ocierającego się o szkolny tragizm, co u tak renomowanego reżysera może tylko irytować.

Ostatnim filmem festiwalu, na jaki warto było zwrócić uwagę, był zabawny „Nowy Jork — czwarta rano” interesujący debiut Krzysztofa Krauzego, przeznaczony głównie dla młodej widowni, której mam nadzieję nie zniechęci fakt, że podczas projekcji filmu trzeba także trochę pomyśleć, choć daleki jest Krauzo od mentorskiego moralizowania. Komediowa fabuła nie zwalnia jednak odbiorcy od refleksyjnych i poznawczych obowiązków.

Trafiały się natomiast w Teatrze Muzycznym filmy, których tytułów nie warto nawet wspominać, a które bezspornie nakładają na widza obowiązek bojkotu kina i telewizji, w zależności od tego, która z tych instytucji pierwszą zdecydowała się popełnić samobójstwo, wyświetlając np. „Zakole” czy „Skrypcę Rotszylda”, grające zdecydowanie na fałszywym nute.

Oslabione morderczą pracą i brakiem Piotra Szulkina jury wydało 18 września wyrok, od którego nie ma apelacji:

Grand Prix festiwalu, Złoty Lwy Gdańskie, przyznano jednogłośnie **K. Kieślowskiemu** za „Krótki film o miłości” i „Krótki film o zabijaniu”; nagroda specjalna jury przyznana została jednogłośnie **A. Holland** za film „Kobieta samotna”; Srebrne Lwy Gdańskie, również jednogłośnie, przyznano **R. Glińskiemu** za reżyserię filmu „Zabedzi śpiew”; Srebrne Lwy Gdańskie (jest to następna nagroda główna) otrzymał większością głosów **A. Kotkowski** za reżyserię filmu „Obywatel Piszczek”; Srebrne Lwy Gdańskie za scenariusz otrzymali jednogłośnie **K. Plesiewicz** i **K. Kieślowski** za „Krótki film o miłości”; nagrodę za debiut kinowy przyznano większością głosów **K. Krauzemu** za film „Nowy Jork — czwarta rano” — są to tzw. Lwy Gdańskie, dawniej zwane Brązowymi Lwami, kojarzonymi, jak użasno jury, nazbyt często z brązowym medalem, czyli trzecim miejscem w rywalizacji. Za najlepsze rolę żeńską jury przyznało dwie równorzędne nagrody **Marii Chwalibóg** („Kobieta samotna”) i **Grażyny Szapołowskiej** („Krótki film o miłości”); nagrodę za najlepszą rolę męską otrzymał większością głosów **Bogusław Linda** („Kobieta samotna”), nagrodę Fundacji Kultury Polskiej jury przyznało **Janowi Peszkowi** za kreację aktorską w filmie „Zabedzi śpiew”. Nagrodę za drugoplanową rolę żeńską przypadła pośmiertnie **Stefanii Iwńskiej** („Krótki film o miłości”), za drugoplanową rolę męską wyróżniony został **Bogusław Pawlik** („Tabu”) **Andrzeja Barańskiego**. Nagrodę za scenografię otrzymał **Janusz Sosnowski** („Kingsajz”); za zdjęcia — **Witold Adamek** („Krótki film o miłości”), „Dotknięci”, „Obywatel Piszczek”; nagrodę za muzykę przyznano **Jerzemu Satanowskiemu** („Schodami w górę, schodami w dół”). Nagroda za dźwięk do filmu „Niezwykła podróż Baltazara Kobera” przypadła **Januszowi Rosolowi**; nagrodę za montaż przyznano **Jadwidzie Zajacek** („Zabij mnie gówno”); za kostiumy pośmiertnie nagrodę przyznano **Jolancie Jackowskiej** („Schodami w górę, schodami w dół”). Po ogłoszeniu werdyktu przewodniczący jury **Janusz Zaorski** odczytał jeszcze na konferencji prasowej oświadczenie następującej treści:

„Jury wyraża głębokie oburzenie i powodu skandalicznego stanu aparatury dźwiękowej w Teatrze Muzycznym w Gdyni”.

Krótką oceną festiwalu, omówieniem przebiegu Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich i kilku słów o filmach wyświetlanych na pokazach specjalnych za tydzień. Ale już teraz można twierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Oscara dla polskiego filmu w najbliższych latach nie będzie. Chyba że następny festiwal odbędzie się w Hollywood, gdzie dysponują podobno sprawną aparaturą nagłaśniającą.

MACIEJ SWIERKOCKI

Narodziny perły



prawdy o sobie i świecie rozumiemy, że tej nie ma... że kolorowe jest bezbarwne, dźwięczne nie dźwięczy a ruch zastęga w bezruchu. Zresztą i te podziały nie są definitywne. Nauczono nas prostych i łatwych formuł świata, które są fałszywe a my przez lenistwo i wyzdnictwo umysłowe ulegamy groźnym stereotypom. Przyjmujemy cudze prawdy za własne nie starając się o ich weryfikację. W marzeniach każdy chciałby przeżyć życie na swój, idealny sposób, jednak większość ludzi jest za słaba, by oderwać się od obowiązującego schematu. Gigantyczne matryce życia oddziałują seryjne życiorysy, produkują pospieszne, byle jakie istnienia. W tym kontekście przemian i tego kres stała się determinanta negatywna ograniczająca ludzkie doznania do spraw najprymitywniejszych. „Umarci potrali tańczyć” jest zaprzeczeniem tej tezy, próba innego widzenia postaw ludzkich w momencie przechodzenia w stan ostatecznej wolności — tak mówi o swoim spektaklu jego twórca, piórem **Haliny Kasjaniuk**, która zeznania Misiury spisała do programu.

Zalóżyciel Teatru, jego reżyser i choreograf — **Wojciech Misiuro** — nie jest postacią nieznaną w artystycznym świecie. Pracował w balecie **Janiny Jarzynówny-Sobczak** w Gdańsku, skąd pochodził, był miumem w Pantomimie **Henryka Tomaszeńskiego** we Wrocławiu — poznawał różne techniki ruchu scenicznego. Współpracował z wieloma reżyserami: m.in. **Braunem**, **Kajzarem**, **Mincem**, **Hanuszkiewiczem**. Był wykładowcą w PWSFTiVt na wydziale aktorskim. Występował w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku i Montrealu brał udział w festiwalach baletowych i teatralnych w Adelaidzie w Australii, Berlinie Zachodnim, Bergen w Norwegii, Edynburgu, w Meksyku. Cały czas myślał o czymś nowym.

Opowiada, siedząc plecami do budynku Teatru Muzycznego, gościnnego miejsca wczorajszego sukcesu — w kawiarni hotelu „Gdynia” w Gdyni:

Przypuszczam, że kolejna, po kilkunastu latach, wizyta w Łodzi skierowała pani myśli ku dawnym sprawom i przeżyciom.

— Wspomnienia z dzieciństwa i młodości powróciły z ogromną siłą. Okres ten utrwalił się zresztą w mojej pamięci najlepiej, bo życie dorosłe biegnie zbyt szybko i nerwowo. Spacer po Łodzi sprawił, że przez chwilę poczułam się znów młodą dziewczyną.

— Widziała pani tyle pięknych miast. Jaka wydała się Łódź teraz?

— Mam do Łodzi silny stosunek uczuciowy. Tu uczyłam się, tu podjęłam pracę solistki operowej. Samo miasto niewiele się zmieniło i ma dla mnie ten sam urok co dawniej. Dokuczyło mi tylko zanieczyszczone powietrze. Wytworzył się stan zapalny gardła, który mógł wręcz uniemożliwić drugi z przewidzianych występów w Teatrze Wielkim. Na szczęście, dzięki pomocy lekarskiej udało się tę dolegliwość opanować.

— Trudno byłoby domyślić się tych kłopotów, słuchając pani pięknego śpiewu podczas

koncertu. Proszę przypomnieć, jak wyglądała łódzka edukacja?

— Śpiewać chciałam od dziecka i najpierw poszłam do ogniska muzycznego. Po rocznej nauce wstąpiłam do Średniej Szkoły Muzycznej, mieszczącej się wówczas w tym samym budynku co PWSM. Dyplom dostałam już po 3, a nie po 5 latach, zaś egzamin końcowy potraktowany został jednocześnie jako wstępny egzamin do PWSM. W szkole średniej uczyła mnie prof. Julia Gorzechowska, w wyższej — prof. Olga Olgińska.

— Zdało się, że pracowała pani zarazem zawodowo.

— Było to koniecznością, jako że rodzicom nie powodziło się najlepiej. Będąc uczennicą Średniej Szkoły Muzycznej, już po maturze w Liceum w Pałanicach, pracowałam w księgowności Zające do meczyło mnie bardzo, gdyż nie interesowało wcale.

— Pierwszy konkursowy sukces odniosła pani na I roku studiów.

— Owszem. Wypytowano mnie na Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy w Katowicach, w którym uczestniczyli już właściciele zawodowi śpiewacy. Otrzymałam II nagrodę ex aequo z Paulosem Raptisem.

— Przyszła kolej na następne konkursy.

— Zostałam laureatką krajowego Konkursu Muzyki Dawnej, potem konkursów w Tuluzie, Monachium, Helsinkach. Na Konkursie im. P. Czajkowskiego w Moskwie doszłam do finału, lecz nagle choroba uniemożliwiła dalsze śpiewanie. Mimo to otrzymałam dyplom i wyrazy uznania od jurorów.

— Czy nie ma pani czegoś szczególnego do zawdzięczenia prof. Olgińskiej?

— Prof. Olgińska nazywałam swą muzyczną matką chrzestną. Była wspaniałym pedagogiem i człowiekiem o głębokiej kulturze. Opiekowała się mną nie tylko w latach szkolnych, lecz towarzyszyła potem w życiu prywatnym. Jako profesor i tłumacz pojechała ze mną w 1970 r. na pierwszy występ do Nowego Jorku. Debiutowałam w Carnegie Hall, w nieznanym mi wcześniej operze Goldmarka „Królowa Saba”. Był to przełomowy moment w mojej karierze i moim życiu — wtedy właśnie podpisały się kontrakty zagraniczne. Prof. Olgińska do ostatnich chwil życia służyła mi radą korespondowała ze mną, rozmawiała przez ocean telefonicznie, angażowała się w moje sprawy. Zachowałam za to wielką wdzięczność.

— Jak doszło do przeniesienia się do Nowego Jorku na stałe?

— Po debiucie w Carnegie Hall wyjechałam na występy do różnych miast amerykańskich, do Anglii, Francji, Włoch

i Hiszpanii. W 1972 r. podpisałam kontrakt z Metropolitan Opera. Miał on na raz, jak u większości innych artystów, charakter sezonowy i dotyczył około 10 przedstawień. To nie była jeszcze stała praca. Te otrzymałam dopiero w 1973 r. Nowy, długoterminowy kontrakt przewidywał zatrudnienie od września do końca marca, 5 własnych premier plus obojętnie, na wypadek choroby innego solisty. Wtedy stało się oczywiste, że moje dalsze życie musi być na stałe związane z Nowym Jorkiem.

— Ten okres nie był na pewno łatwy.

— Wie pan, początkowo nie znałam nawet języka angielskiego i byłam w tym obcym świecie właściwie zupełnie sama. Przy ogromnej konkurencji zawodowej liczyć mogłam pod każdym względem wyłącznie na własne siły. Osamotnienie powodowało różne myśli, nieraz byłam bliska załamania. Bardzo tęskniłam za najbliższymi. Nic dziwnego, że jak najszybciej chciałam ich mieć znów przy sobie. Udało mi się zaprosić męża i córki na Boże Narodzenie. Wtedy zrozumiałam, że już nie możemy się

— A talent? Czy nie stoi on na pierwszym miejscu? Osobiście nie zgadzam się na to, że Ignacy Paderewski, który mawiał, że praca decyduje o wszystkim i przyznawał jej w sztuce 90 procent ważności.

— Oczywiście, że talent jest najważniejszy. Bez niego praca stałaby się szybko ciężarem ponad siły.

— W pani repertuarze jest ponad 30 partii operowych. Która jest najbliższa sercu?

— Niektórych ról, jak np. „Królowa Saba” czy „Eurymache” już nie wykonuję. Natomiast często śpiewam partię Pucciniowskie. Na pewno operą szczególnie lubianą jest „Tosca”. Arię „Vissi d'arte” — „Żyłam sztuką, żyłam miłością”, traktuję jako życiowe motto. Bo ja naprawdę żyję sztuką i żyję miłością.

— Śpiewa też pani w operach niemieckich — Wagnera, Straussa. Jest interesujące z punktu widzenia techniki wokalne, jak udaje się pogodzić tak różne stylistycznie pozycje?

— Polegam na tym, co zakodowane jest już niejako w podświadomości. Każda inter-

pretacja stanowi przecież wypadkową osobowości i kultury muzycznej. Jeśli śpiewak wie, jak kształtować np. frazę u danego kompozytora, może czuć się swobodnie w różnych stylach.

— Czy natknęła się pani na dzieła sprawiające jej jakieś specjalne trudności?

— Poza utworami modernistycznymi najtrudniejsze były dla mnie utwory Ryszarda Straussa. Jest to muzyka piękna, wyrafinowana (głównie pod względem harmonicznym), ale skomplikowana wykonawczo. Wśród śpiewaków budzi krwawą reakcję — albo się ją od razu lubi, albo nienawidzi. Ja Straussa śpiewałam już w Polsce jako studentka. W 1973 r. uczestniczyłam w realizacji „Elektry” w Wenecji. Zaprezentowane obecnie w Łodzi 4 ostatnie pieśni wykonywałam w różnych miastach USA, zaś telewizja w Montrealu zrobiła w oparciu o moje nagranie spektakl dramatyczny, w którym aktorzy przedstawili symbolicznie 4 fazy życia człowieka.

— Czy lubi pani wykonywać pieśni?

— Bardzo lubię. Uważam, że stwarzają one okazję do wyjątkowo dobrego porozumienia się z odbiorcą. Za granicą przez cały czas wykonuję m.in. pieśni polskie — Chopina, Moniuszki, Karłowicza. Niebawem w college'u, w którym pracuję wraz z mężem pedagogicznie, wezmę udział w kolejnym koncercie chopinowskim. Muzyka naszego wielkiego twórcy jest wszędzie chętnie słuchana. Odtwarzam ponadto pieśni kompozytorów amerykańskich polskiego pochodzenia, ostatnio np. utwory Jankowskiej do słów Miłosza.

— Wiem, że nieobcy jest pani repertuar oratoryjny.

— Śpiewałam nie tylko operowe nieco w stylu Requiemu Verdiego, lecz także IX Symfonię Beethovena, kantaty Bacha, „Mesjasza” Haendla, „Stabat Mater” Szymanowskiego.

— Czy zetknęła się pani na wielkich scenach operowych z polskimi śpiewakami?

— W Bostonie śpiewałam „Fidelio” razem z Magdaleną Falewicz, w Metropolitan Opera — „Eugeniusza Oniegińa” z Wiesławem Ochmanem. Poza sceną spotykałam się nieraz z Teresą Zylis-Garą, Zdzisławą Donat, Stefanią Toczyńską.

— Partnerowały pani najsłynniejsze gwiazdy wokalistyki. Z którymi spośród sławnych śpiewaków współpracowało się najlepiej?

— Od początku mojej kariery często występowałam z Plácido Domingó. W różnych krajach wykonywaliśmy wspólnie „Toskę” i „Aidę”, nasz występ w MET transmitowany był z pośrednictwem radia na całą Amerykę. Szybko zaprzyjaźniliśmy się i Plácido przeciągnął mnie nawet do swojego impresaria w Londynie (impresaria kobiety, zresztą). Wśród moich dobrych kolegów znaleźli się też Tito Gobbi i Nicolai Gedda.

— Czytając wspomnienia Rudolfa Binga, dyrektora Metropolitan Opera w latach 1950—1972, natknąłem się na jego opinie, że teatr operowy musi być zorganizowany jak demokracja wojskowa, w której rządzi jeden człowiek.

— Bing przez niektórych uważany był za tyrana. Za moich jednak czasów zapanowała w MET zasada podejmowania decyzji przez całe kolegium dyrektorskie.

— Jaki reżim pracy obowiązuje w tej słynnej placówce artystycznej?

— Obowiązuje zasada maksymalnego wykorzystania czasu i pełnej sprawności. Wszyscy soliści muszą być przygotowani do prób na 100 procent. Nie ma artysty nie przygotowanego. Gdyby się taki pojawił, musiałby natychmiast odejść. Wydaje mi się, że we wszystkich zespołach praca jest wzorowo zorganizowana, powiedziałabym — komputerowo.

— A w teatrach polskich, w teatrze łódzkim?

— Nie wypada krytykować, ale zauważyłam wśród niektórych solistów trochę zbytnej swobody. Na przykład ktoś się gdzieś zapodział i trzeba go szukać. Ekonomia czasu więc zawodzi. Choć orkiestra jest w pełni zdyscyplinowana.

— Mówi teraz pani trochę jak pedagog. To jest, o ile się nie myli, nowa pasja?

— Faktycznie, nauczam z zaangażowaniem i sporą satysfakcją. Nie chcę, żeby umarło coś, co ja ukochałam. Kto wie, może moje piękne przeżycia artystyczne staną się kiedyś udziałem którejś z uczennic? W ubiegłym roku miałam 9 adeptek, m.in. Japonkę, Murzynkę i Chinkę. Kilka zrobiło już dyplom.

— A czym zajmują się pani córki — czy poszły w ślady mamy?

— Młodsza córka, Dorota, kończy szkołę dramatyczną. W ramach zajęć występowała ostatnio w „Wesołej wdówce”. Starsza — Małgorzata — ukończyła z wyróżnieniem szkołę handlu zagranicznego i bankowości i pracuje w potężnym banku nowojorskim.

— Co lubi pani robić w domu?

— Przede wszystkim odpoczywać. Dużo czytam, oglądam telewizję (są aż 23 kanały), ale także gotuję i sprzątam. Mam teraz nowy, wspaniały wyposażony dom pod Nowym Jorkiem 4 sypialnie, salon itd. Zajmuję się nadal urządzaniem.

— Czy tęskni pani do Łodzi?

— Tęsknię, bo tu są moje korzenie i jakże cieszę się z obecnej wizyty. Nie myślałam kiedyś, że to będzie możliwe. Główna w tym zasługa dyr. Pietrasa. Dziękuję jemu i wszystkim, którzy mnie tak serdecznie przyjęli.

— Gdyby przed kilkunastoma laty nie wyjechała pani do Nowego Jorku, jak mogłoby potoczyć się pani życie?

— Prawdopodobnie byłabym w dalszym ciągu solistką łódzkiej opery, może los rzuciłby mnie do Warszawy. Dzielilibym radości i kłopoty wszystkich polskich śpiewaków.

— Czy ma pani jakieś nie spełnione pragnienie?

— Tak, bardzo chciałabym zaśpiewać w mediolańskiej La Scali. Jakoś się do tej pory nie złożyło. Śpiewałam niemal wszędzie, nawet na pustyni arabskiej o 12 w nocy, fortepianem dosłownie wniesiono na płasek. Ale w La Scali dotąd nie. Opera ta nie jest już może tak renomowana, jak kiedyś, ale zaśpiewać tam „wypada”. Każdy solista tego pragnie, ja też. Czy się jeszcze uda?...
Jestem przekonany. Bardzo dziękuję pani za rozmowę.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST



Mówi: Marek Drewnowski

— Czy w Polsce łatwo jest zrobić pianistyczną karierę?

— W Polsce nie lubi się tego słowa, a na tych, którzy ją robią lub zrobili patrzy się podejrzliwie.

— O karierach polskich artystów na Zachodzie często decyduje przypadek i tak właśnie było w pana przypadku?

— Nie wierzę w przypadki, a moja kariera nie trwa od dzisiaj, lecz od wielu lat. Jest wypracowana.

— Przeczytałem jednak, że na Zachód wyjechał pan przypadkowo, bo jako mąż żony skrzypaczki, która otrzymała kontrakt?

— Nie napisano, że to ja skierowałem żonę na to przesłuchanie, na którym jej akompaniowałem.

— Wkrótce i pan zaczął pracować we Włoszech. Jak wypadła konfrontacja własnych umiejętności z tym co tam pan obserwował?

— Stwierdziłem, że nie wypadam źle i owa konfrontacja, której się obawiałem, wcale nie jest taka straszna.

— Wyjechaliście w okresie stanu wojennego, a więc zapewne towarzyszyła wam niepewność co będzie dalej?

— Ta niepewność towarzyszy mi do dzisiaj. Brakuje fortepianu, sala jest w remoncie i nie ma gdzie nagrać płyty. Nie mówiąc już o sprawach bytowych. Moje uczucie niepewności pracy w Polsce potęguje się ilekroć tu przejeżdżam.

— We Włoszech musiał pan zaczynać od zera?

— Tak, po roku pobytu miałem tam tylko dwa koncerty.

— Pewnie dlatego, że nie miał pan impresaria?

— Przez kilka lat nie miałem.

— A teraz?

— Mam trzech impresariów: we Włoszech, RFN i w Polsce, gdzie moim impresariem jest firma POLTEL.

— Test pan jednym z odkryć wielkiego dyrygenta Leonarda Bernstein'a, czy nadal współpracujecie z sobą?

— Owszem, ale bardziej na gruncie towarzyskim, np. niedawno byliśmy razem na wielkim przyjęciu wydanym w Rzymie na cześć słynnego gwiazdora Michaela Jacksona.

— Jakie wrażenie zrobił na panu idol rockowy?

— Ot młody ekscentryczny człowiek, który śpiewa i tańczy.

— Na przyjęciu była także Sophia Loren?

— Do tej pory znałem ją jedynie z ekranu, teraz mogłem na nią patrzeć z bliska.

— Gdzie koncertuje pan na świecie?

— Występowałem jak dotąd w całej Europie oraz w Stanach Zjednoczonych.

— A w kraju?

— Czekam na otwarcie Filharmonii Narodowej.

— Szczególnie dużo czasu i uwagi poświęca pan nagraniu płytowym?

— Nagrania są dokumentem, który pozostaje po pianistcie. Moje płyty wychodzą obecnie na całym świecie i uważam, że jest to moja najlepsza wizytówka i reklama.

— Obecnie przebywa pan w Warszawie, czy dokona pan nowych nagrań płytowych?

— W sumie nagrałem w Polsce 10 płyt, z czego na wydanie od kilku lat czeka 7 innych. Mówi to samo za siebie. Ale ja się nie zrażam i nagrywam dalej. Właśnie ukazała się moja płyta compactowa. Teraz nagrywam walce dla „Tonpressu”. Na Zachodzie głównie nagrywam dla firmy „Frequenz”.

— Ile czasu poświęca pan rodzinie?

— Do Polski przyjechałem z rodziną, która rozjechała się na wakacje. Jestem w domu sam skoncentrowany na przygotowaniach do nagrań.

— Właściwie ma pan dwa domy: w Warszawie i w San Remo?

— W Warszawie mieszkam u mamy, w San Remo zajmuję drugie piętro dużej willi z ogrodem, oddalonej od kurortu. Nie lubię ruchu turystycznego, tego nieustannego przemijania twarzy na jeden raz.

— Jesteście z żoną na kontraktach?

— Tak, mamy polskie paszporty, żona jest skrzypaczką w miejscowej orkiestrze.

— Jak daleko sięgają pana plany?

— Są poukładane na pięć lat.

— Hobby?

— Lubię naturę, spacerować po lesie, przebywanie w ogrodzie.

— A bardziej czynny wypoczynek?

— Gram w tenisa i jeżdżę na rowerze.

— I to właśnie utrzymuje pana w tak znakomitej kondycji?

— Tak, bo pianista musi być w dobrej formie, jego praca jest wyczerpująca psychicznie i fizycznie.

— Osiągnął pan w życiu dużo, czego jeszcze chciałby spróbować?

— Będę prowadził we Włoszech kurs mistrzowski, co stanowi dla mnie przygodę i dużą zmianę.

Rozmawiał: **BOHDAN GADOMSKI**

Wiersz na czarną godzinę

O Polsce mówiąc nie przemilczaj imienia

Ona gawiedzią jest wokół szafotu
i kat jej pracownikiem.
Koleżki złote w uszach Atlantyku
kolyszą się.
Świeciła zza oceanu na piersiach słodkiej
Francji

ledwie akrywają jej nagość;
podnieca ją szorstka grzywa brytyjskiego lwa.
Nie przysięgała nigdy miłości.
Jej zdrady zdarzały się tylko w wyobraźni
zazdrostnego ludu nad Wisłą.
Nie chciała umierać za Gdańsk.
Lecz nie oddała życia także za swój Paryż.
Nie przysięgała miłości Paryżowi!
Jakkż wiec miałyby prawo żyć ją
i poniżać.
Twoja siostra Europa
z najeźdźcami pod ręką od wieków spaceruje,
wdzięczy się do zwycięzców.
A ty jej szepcesz czule o honorze?
A ty jej przypominasz Ojca Śródziemnego imię?
Na ręce spójrz Europie!
Barbarzyńca z Szekspira:
miłośnik teatralnych gestów,
wyznawca śmierci jasnej jak ostrze lasera;
dywizję swe jak szpony zaciskał na szyi

Warszawy;

SESJA NAUKOWA, WYSTAWY, PREMIERY, PRZEGLĄDY

Sto lat stałej sceny

„8 października 1988 roku jest ważną datą w historii teatru łódzkiego — pisała w lipcu na naszych łamach doc. dr hab. Anna Kuligowska. — Minie wówczas 100 lat od powstania stałej sceny polskiej w Łodzi. Wprawdzie pierwsza kompania aktorska przybyła tutaj już w roku 1844, ale przez następne kilkadziesiąt lat Łódź nie posiadała teatru stałego (...). W roku 1877 został wzniesiony pierwszy murowany gmach teatralny w Łodzi — „Victoria” (do niedawna znajdowało się w tym miejscu kino „Polonia”), ale do utworzenia stałej sceny polskiej doszło dopiero w r. 1898. Jej twórcą był Lucjan Kościelicki — recenzent i felietonista „Dziennika Łódzkiego”...

W ten piękny, stuletni dorobek sceny polskiej w Łodzi, swój znaczący wkład wnieśli tak wybitni twórcy, jak: Aleksander Zelwerowicz, Andrzej Mielewski, Bolesław Leśmian, Arnold Szyfman, Karol Adwentowicz, Stanisław Wysocki, Leon Schiller, nie mówiąc już o powojennych wielkich ludziach teatru — Feliksie Zukowskim, Stanisławie Łapińskim, Janie Maciejewskim czy Bogdanie Hussakowskim.

Okazją do ukazania znaczenia tego wielkiego wydarzenia, zarówno w życiu miasta jak i kraju, będą uroczystości jubileuszowe, jakie odbędą się podczas od 5 października br. Rozpocznie je dwudniowa sesja naukowa z następującymi tematami: „Wiele dyrektorów scen łódzkich”, „Wiele aktorów na scenach łódzkich”, „Wielkie przedstawienia w teatrze łódzkim” i wreszcie „Publiczność teatralna”. Uroczystą sesję poprzedzi otwarcie wystawy okolicznościowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi pt. „Łódź teatralna 1888 — 1988”.

Program obchodów stulecia stałej sceny przewiduje również przegląd filmów krótkometrażowych „Łódź artystyczna w filmie”, premiery na małej i dużej scenie Teatru im. S. Jaracza, przegląd repertuaru polskiego, przegląd spektakli zarejestrowanych przez Telewizję.

Uroczystościom patronuje Komitet Honorowy, w skład którego weszli: prof. Aleksander Krawczuk — minister kultury i sztuki, Jarosław Pietrzyk — prezydent m. Łódź, Józef Niewiadomski — prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, Henryk Kluba — rektor PWSFTiL, prof. prof. Zbigniew Raszeński i Bohdan Korzeniowski, Kazimierz Dejmek — dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie, prof. Jadwiga Chojnacka, Kazimierz Iwński — prezes Oddz. ZASP i Sabina Nowicka — dyrektor Teatru im. S. Jaracza w Łodzi.

M. Z.

Książki Igora Newerlego „Zostało z uczty bogów” nie waham się nazwać wydarzeniem nie tylko literackim. Dojrzała długo — w zamysłu autorskim, w realizacji, w cyklu wydawniczym. Jej wyjątkowość — nie tylko w naszej skali — wyznacza pasja szczerości. Archaizowana metafora, użyta jako tytuł, zaczerpnięta została z położonego jako motto wiersza Fiodora Tiutczewa:

Szczęśliwy, kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przełomu:

Kwestia smaku

Bogowie go do swego domu
Wzwalali, by do uczty z nimi siadł.
(przekład J. Tuwima)

To książka, którą powinien przeczytać właściwie każdy, zwłaszcza zaś ten, kto pogubił się w naszej obcej rzeczywistości. Wraz z jej lekturą uzyskujemy bowiem perspektywę zdarzeń i postaw, również negatywnych, rzecz prosta, które trwały legły u źródła wielu współczesnych zjawisk. Igor Newerly pisze wprawdzie o czasach odległych, ale są to po prawdzie czasy, w których ukształtowało się oblicze dwudziestego stulecia. Znaczenie książki „Zostało z uczty bogów” polega przede wszystkim na tym, iż rozprawiła się ona z mitami i dogmatami, którymi posługiwano się przez całe dziesięciolecie — z góry ustalony — apologetyczny, sposób. Przemawia tak i Newerly. Również jako pisarz, autor choćby „Pamiętniki z Celulozy”, wieloletniej lektury szkolnej. Ale w końcu niekoniecznie musimy o tym pamiętać, kiedy czytamy „Zostało z uczty bogów”. Tym bardziej, iż Newerly o stalinizmie wspomina jedynie na zasadzie dygresji. Iwina część tekstu poświęcając burzliwym działom rewolucji rosyjskiej i pierwszym siedmiu popaździernikom latem, to jest do momentu, kiedy przez zieloną granicę dotarli

do Polski. Trochę to wszystko dziwne. Igor Newerly — polski pisarz z mieszanego czesko-rosyjskiego rodu, dał w języku, którym ledwo posługiwał się przekraczając granicę, książkę, która mogła (powinna?) w wielu innych językach. Dał książkę konfrontującą młodzieńczy ideał „upojnego szczęścia” sprawiedliwości społecznej z początkami realnego socjalizmu. Nawet nie był pewien, czy się ona ukaże. Oto zamienna dygresja, ujawniająca wewnętrzną walkę, spór

pisarza z samym sobą i nie do końca udane próby przewyższenia zahamowań: „Nie pisałem dwa lata. Depresja, czy inna chandra i ostatecznie coraz mniej nadziei, że to się ukaże w druku (...). Ten przerwany watek o naszych obrażeniach i oczekiwaniach przyszłości niech zostanie tak jest w krajach milczenia, bo to nieważne, co się tam śniło piękne, przebudzenie było straszne”.

Nie wietrzny jednak sensacji tam, gdzie jej nie ma. Nie podejrzewajmy Igora Newerlego o łatwe uogólnienia. Rozliczył się on bowiem nade wszystko z własną młodością, górą i chmurą, z własną wiarą i towarzyszącymi jej rozczarowaniami, z własnym sumieniem. „Zostało z uczty bogów” to typowy utwór konfesyjny, odmiana powieści o formowaniu się osobowości (zwana z niemiecką Bildungsroman) czy też odmiana powieści „rozwojowej” (Entwicklungsroman), ukazująca krystalizowanie się postawy życiowej narratora w ogarniętej wrzemiem rewolucyjnej i porewolucyjnej Rosji. Rzecz pierwsza i najważniejsza w tej książce, rzecz, która nieodmiennie przykuwa uwagę czytelnika — to precyzyjnie uchwycone kontasty i konflikty w wymiarze zarówno jednostkowym, jak i społecznym. Mam do czynienia ze

swoistą kroniką sprzeczności, takich siedliskiem pozostałe człowiek i tworzona przezeń historia. Patrząc na przemian z zachętem i przerażeniem na potężne żarna dzieł obracające w proch przeszłość (nie tylko z jej złymi stronami, ale również i pozytywnym dorobkiem) bohater powieści przebył drogę długą; od zachwytu do zwątpienia, od wyuczenia się na pamięć „Elementarza komunizmu” Bucharina do wzięcia GPU. Towarzyszy tej drodze wieczne zdziwienie, nieustanne uczenie się świata i ludzi; od dziecięcego kontaktu z następcą rosyjskiego tronu, poprzez zaskoczenie, że „ni stąd ni zowąd, w nieprzewidywanym przez historię czasie i miejscu, a więc poniekąd nieprawdopodobnie, powstał zupełnie inny, nie znany dotąd ustrój”, aż po czas spędzony w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Wielu pokoleniom wprawiano, że historia to spżowyżony monument: jednolity, przytłaczający. Newerly przywraca historii wymiar ludzki, a więc niejednorodny: wzniosły i tragiczny zarazem, gdzie niebotycznym zamiarom towarzyszą niedoskonałości i wady całkiem przyziemne (oto przykładowo narrator okradziony zostaje przez współwyznawców idei poszechnego braterstwa i rozpacza nie tyle z powodu strat materialnych, co płacze nad ludzką ułomnością). Po padam w ton emocjonalny, ale przecież książka Newerlego bez emocji czytać się nie da. Jak zwykle zresztą w sytuacji, kiedy literaturze udaje się przybliżyć głęboką w swej niejednorodności prawdę o człowieku. I tylko smak, który pozostał z uczty bogów, zmusza do refleksji, czy była to uczta Lukullusa, czy też uczta Baltazara.

TADEUSZ BŁĄZEJEWSKI

Igor Newerly, „Zostało z uczty bogów”, Czytelnik, Warszawa 1988, cena zł 850.—

powstawało na przekrobie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Można by więc zaryzykować twierdzenie, że to już klasyka polskiej sztuki współczesnej, a skoro klasyka, to musi się czuć dobrze w klasycznych — niestety w tym przypadku znaczy to również nieco skostniałych — formach ekspozycji.

Prezentacja dokonana znanych i uznanych jest potrzebna i nie o to mam pretensje do tych, którzy zawiadują łódzkimi galeriami. Brakuje mi wyrażonej reakcji na to, co dzieje się w sztuce najmłodszego pokolenia twórców. Wyczuwa się, że warunki dyktuje tu malarstwo bardzo zresztą szeroko rozumiane. W Łodzi poznajemy je jednak bardziej z obrzeży niż z nurtów głównych.

To wcale nie oznacza, że oczekuję prezentacji na miarę Arsenalu '88, czy bardzo dobrej wystawy „Święte malowane” w warszawskiej Zachęcie. Oba te pokazy dowiodły, że dziś jest ważne nie tylko jakie dzieła znajdujemy na wystawach, lecz także i to, że sama wystawa jest wydarzeniem artystycznym, jakby trochę niezależnie od tego, co na niej zostaje pokazane.

Jak na razie zauważało to przede wszystkim Galeria Wschodnia i trochę Galeria 88, odbijają się jednak kreowane tam wydarzenia głównie w środowisku samych twórców, a chodzi przecież o to, żeby wyjść poza ten krąg. A że jest po temu artystyczny potencjał, świadczy popołenerowa wystawa w Ośrodku Propagandy Sztuki, która pamiętamy jeszcze sprzed wakacji. Uważam, że możliwości łódzian nie ustępują temu, co pokazano w Zachęcie, ani tym bardziej w Hali Gwardii. Nie ustępują zarówno w sensie intelektualnym jak i emocjonalnym, chociaż ma to twórczość swoje odrębne oblicze (zapewne dlatego była nieobecna w Zachęcie i nielecnie ujawniła się na Arsenalu '88) i koniecznie trzeba je łódzkiej publiczności uiawnić.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

PIOTR PARANDOWSKI O OJCU

Piotr Parandowski jest archeologiem i filmowcem, autorem filmu o swoim wielkim ojcu — Janie Parandowskim. W wywiadzie dla „Anteny” powiedział: „W postawie Ojca nie było bynajmniej potępienia naszych czasów. Przeciż sam swoim życiem objął aż trzy najnowsze epoki: koniec wieku XIX zamykającego się w 1914 r., potem okres międzywojenny wraz z wojną i czasy powojenne. Ojciec określił kiedyś swoją postawę — co można by uznać za credo — w której dominuje wiara w człowieka, w jego zdolność do odradzania siebie i wartości trwałych, głoszonych przez antyk w tak klarownej postaci. I dlatego nie obawiał się tak bardzo o człowieka współczesnego... Ojciec często przedstawiał rozum rozsądkowi, który nazywał rozumem bez skrzydeł... Ojciec stwarzał w domu pewien nastrój, który był połączeniem skupienia, serdeczności i humoru. I to odczuwali przede wszystkim członkowie rodziny. Tak też chciałem go przedstawić w filmie... Widz nie znajdzie tam ani biografii, ani testamentu. Chciałem ukazać Jego stosunek do świata, do twórców... Ojciec na ogół nie

zabierał głosu w publicznych sprawach, nie wygłaszał opinii, zwłazsza w sprawach doraznych. Często więc uważany był za człowieka dalekiego od polityki. Swoją stosunek do zdarzeń wyrażał przede wszystkim w postępowaniu, tak w kręgu prywatnym, jak i publicznym. Cechowała Go szczególna powściągliwość i ostrożność w osądzeniu bieżących wydarzeń...”

KSIAŻKA O ANNIE GERMAN

Nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Iskusstwo” ukazała się książka Aleksandra Zigmundowa pt. „Anna German”. Autor przedstawia w niej drogę artystyczną naszej piosenkarki, która — jak wiemy — urodziła się w Związku Radzieckim, tam spędziła wraz ze swoimi bliźkimi niezwykle trudne lata dzieciństwa i tam także świętowała dni swojego największego triumfu. W Związku Radzieckim miała rzeczywiście liczne rzesze swoich wielbicieli.

K. KIEŚŁOWSKI LAUREATEM

Ustanowiona po raz pierwszy przez spółkę „Film Polski” nagrodę dla twórcy najlepiej sprze-

dającego się filmu polskiego za granicą otrzymał Krzysztof Kieślowski za film „Przypadek” (nb. który przeleżał się jakiś czas na półkach, nim trafił na ekrany kin). Za sprzedaż tego filmu uzyskano dotychczas ponad 64 mln zł.

Następnymi dobrze sprzedającymi się pozycjami filmowymi za granicą są: „Matka Królów” Janusza Zaorskiego (ten film także poleżał na półkach jakiś czas) oraz „Krótki film o zabijaniu” Krzysztofa Kieślowskiego, nagrodzony na tegorocznym festiwalu w Cannes.

CZY NIE MOŻNA BY U NAS?

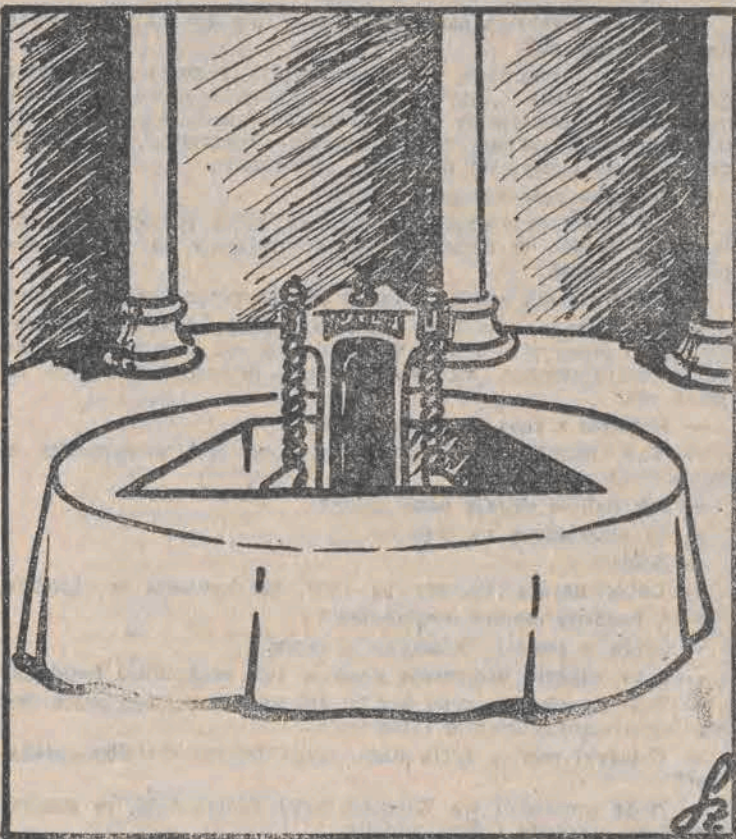
Łódzcy kinomani z zazdrością przyglądają się poczynaniom Romana Gutka z warszawskiego DKF „Hybrydy”, który drogą wielu żmudnych i zapobiegliwych poczynaniń zdolny jest sprowadzać nie tylko interesujące pozycje filmowe do swojego klubu, lecz również wybitnych twórców światowego kina, że przypomni gośczenie w Klubie „Hybrydy” Bertoluccio z „Ostatnim cesarzem”. Najciekawsze pozycje pozyskuje pan Roman Gutkę bezpośrednio z ambasady, instytucji kultury, a także i bezpośrednio od producentów. Na tej też zasadzie, wla-

śnie w dniach od 8 do 16 października, organizowany jest w „Hybrydach” czwarty już Warszawski Tydzień Filmowy, w ramach którego warszawscy kinomani będą mogli obejrzeć ponad 50 filmów z 20 krajów świata. W większości będą to spotkania z najnowszymi filmami reżyserów, którzy prezentowali już swoje filmy w „Hybrydach”. Gościem tygodnia będzie reżyser filmu „Okupacja w 26 obrazach” Lordan Zafranowie z Jugosławii.

A swoją drogą ciekawe, że takie miasto jak Łódź, szczytując się szkołą filmową, nie jest w stanie doczekać się podobnej, i o takim rozmachu, imprezy. Szkoła filmowa z pewnością posiada dostatecznie rozległe kontakty ze światem filmu...

G. GREENE O ZSRR

„W latach pięćdziesiątych i aż do początku lat sześćdziesiątych zwykłem raz w roku jeździć do Związku Radzieckiego — pisał Graham Greene w „La Stambie”. Jeździłem do Moskwy i do Leningradu, i ostro kłóciłem się z Rosjanami z powodu przemian Gutkę bezpośrednio z ambasady, instytucji kultury, a także i bezpośrednio od producentów. Na tej też zasadzie, wla-



Rys. Sławomir Łuczyński

Koncert gwiazd?

Głównym wydarzeniem przewidzianego na 24 września w Teatrze Wielkim „Koncertu gwiazd Festiwalu Krynickiego” miał być udział solistki Metropolitan Opera, Teresy Wojtaszek-Kubiak. Miał być i być. Kończąc właśnie pobyt w rodzinnym mieście światowej sławy artystka nie zawiadlała jednak oświetlającą popis swych młodych kolegów arią Halki oraz — szczególnie w jej interpretacji pięknie brzmiącą — arią Donny Leonory z „Mocy przeznaczenia”. Do spodziewanych bisów nie doszło, gdyż prowadzący konferansjerkę szybko wieczór zamknął.

Z tą konferansjerką to w ogóle historia osobna. Wszyscy oczekiwali zapowiadanego na afiszu Bogusława Kaczyńskiego. Niestety, ów popularny prezydent nie przybył, ponoć zachorował. Dyr. Pietrasz zaangażował więc „awaryjnie” młodego, zdolnego skądinąd publicystę Tomasza Raczkę. Twierdzi, że Raczek nie powinien engagement przyjąć i to z dwu powodów: po pierwsze — nie miał nic do powiedzenia na temat muzyki i wokalistów (mimo iż jakoby był na festiwalu w Krynicy), po drugie — nie posiadał odpowiedniego stroju i na scenę wkroczył w sfatygowanych dżinsach. W ostatnim czasie trzy razy miałem okazję oglądać Raczkę w Łodzi w roli konferansjera. Przed wakacjami, kiedy zapowiadał recital Agnieszki Fatygi w piwnicy CIK, a potem spektakla „Wesela Figara” w TW („Głos Robotniczy” — maturzystom) i wreszcie teraz. I trzy razy słuchałem tych samych, zapelniających czas anegdot: o niewiednym zebrawku, o koszu (która, notabene, należałoby raczej „wkładać” a nie „ubierać”)... Oj, groźna doprawdy powiało chałturą.

Liczba gwiazd w ramach rzeczono koncertu ograniczyła się do jednej, wymienionej na wstępie. Tym niemniej „uprawnienia repertuarowe” były jednakowe. Podobnie jak Teresa Wojtaszek-Kubiak, również każdy z siedmiorga młodych wokalistów, nagrodzonych lub tylko wyróżnionych przez krynickie jury, miał możliwość wykonania dwóch arii z towarzyszeniem orkiestry TW pod zmieniającymi się batutami Andrzeja Kaechy i Aleksandra Tracza. Reprezentowali ci wokaliści poziom bardzo zróżnicowany — od zaledwie raczkowania (przepraszam za to słowo w dzisiejszym kontekście) w trudnej sztuce operowego śpiewu, po kunszt rzeczywistej profesjonalności. To zróżnicowanie umiejętności wynikało m. in. z faktu, że wśród zatrudnionych już w muzycznych teatrach solistów stanoła np. „nie oszlifowana” jeszcze głosowo studentka II roku AM. Skoro ją organizatorzy imprezy potraktowali jako gwiazdę, to ciekawe, jak śpiewali w Krynicy ci nie wyróżnieni?

Wymienię teraz najlepszych troje z koncertu. Zdobywca festiwalowego Grand Prix, Adam Kruszczyński, zaśpiewał swym dźwięcznym, w pełni dojrziałym barytonem arie Miecznika ze „Strasznego dworu” i Posy z „Don Carlosa”. Sopranistka Eugenia Rezier (II nagroda) odśpiewała arie Rozyny z „Cyrylika sewińskiego” i Cherubina z „Wesela Figara”. Nie jest to głos zbyt silny i całkowicie wyrównany barwowo, ale zdradzający naprawdę dużą kulturę muzyczną i techniczną precyzję. Aria Rozyny stanowiąca jeden z bisów wieczoru (szkoda, że akurat spora „nieporządku” zawierał akompaniament orkiestry). Duże i zastanawiające brawa za pełną blasku, emocjonalną interpretację arii Don Josego z „Carmen” oraz Canio z opery „Pajace” zebrał laureat III miejsca i nagrody publiczności w Krynicy — Sylwester Kostecki z łódzkiego TW. Gdyby jeszcze tenorowi udało się pozbyć delikatnego przydźwięku... Szczególnie, że ma szansę być gwiazdą prawdziwą.

JANUSZ JANYST

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

kim moje książki. Skrupulatnie respektowałem moją wolę. Potem przez 25 lat nie byłem w Rosji. Wróciłem tam w 1988 roku. Mój pobyt był długi. Zwiadłem Gruzję i wybrzeża Morza Czarnego, gdzie nigdy przedtem nie byłem, potem wróciłem do Moskwy na Forum Pokoju, w kwietniu 1987 r., a w wrześniu pojechałem na Syberię.

Zauważyłem przy tej okazji bardzo wielkie zmiany. Wszędzie. Przedtem dostrzegało się zawsze ogromną ostrość. Ostrość rozmówców z obydwu stron. Ostrość ze względu na siebie, ostrość ze względu na nas. Teraz czuję się, że ludzie rozmawiają, mówią z zupełną swobodą. W domach prywatnych u przyjaciół. Ta zmiana wywarła na mnie głębokie wrażenie. Zaprosił mnie Ligaczow, numer dwa w Biurze Politycznym; byliśmy razem przez około 10 dni, przyjmowano mnie w sposób bardzo sympatyczny.

Uderzyło mnie to, że przewodniczącymi rady i pierwszymi sekretarzami w miastach są ludzie młodzi. Pamiętam rozmowę, jaką niedługo agent KGB odbył — w Panamie — z moim przyjacielem generałem Omarem Torrijosem; powiedział on, że w Związku Radzieckim nie nastąpiła żadna zmiana w władzy będą starzy ludzie. I oto nagle

pojawiają się ludzie młodzi, koło trzydziestki, i obejmują funkcje przewodniczących i pierwszych sekretarzy w Nowosybirsku, w Tomsku, w rejonie Irkucka i jeziora Bajkał. To wszystko wydało mi się bardzo obiecujące.

Uważam, że w Europie i w Ameryce należałoby wyżyć się tej odrobiny podejrziwości, jaką zawsze okazujemy. Mówimy: to „oszukiństwo”, „makiąg”. A przecież chodzi o coś więcej niż położenie lakieru. To idzie bardziej w głąb. Ale czy Gorbaczowowi się uda? To już zupełnie inna kwestia...

NIEPOKÓJ HISPANÓW

W Hiszpanii z niepokojem obserwuje się zdominowanie tamtejszego rynku środków masowego przekazu przez telewizję. Szacuje się, że spośród dziesięciu Hiszpanów, codziennie ogląda telewizję i z niej głównie czerpie aktualne wiadomości, krajowe i zagraniczne — dzieje się obywateli. Systematycznie słucha programów radiowych polowa dorosłej ludności kraju, natomiast tylko co trzeci Hiszpan jest codziennym czytelnikiem gazet. Dominacja małego ekranu za

rok — dwa zapewne jeszcze bardziej się umocni, gdy zostaną uruchomione trzy nowe, prywatne kanały. Na razie Televisión Española (TVE), firma państwowa, zachowuje monopol w tej dziedzinie. Widownia telewizyjna obliczona na ponad 24 miliony osób dziennie, w tym ponad 11 milionów ogląda dzienniki. Po dziesięciu i niektórych programach informacyjno-publicystycznych, nadawanych po głównym serwisie po godz. 21, do najbardziej masowo oglądanych w TVE należą liczne programy sportowe oraz seriale i inne filmy fabularne, wypełniające większą część wieczoru, a w czasie weekendów nawet całą noc. Od roku 1989 TVE zamierza pierwszy program nadawać w nieprzerwanym cyklu 24 godz., co zainicjowano w nocy z piątku na sobotę przed kilku miesiącami.

Radio, bazujące na dwu sieciach kontrolowanych przez państwo (łącznie 112 stacji nadawczych), obejmujące też kilkadziesiąt rozgłośni prywatnych, często lokalnych czy regionalnych, ma dość duże audytoryum, dzięki istnieniu wielu sieci. Największą popularnością cieszą się programy lokalne, rozrywkowe, muzyczne, i. oczywiście, sportowe.

Kiedy wreszcie wędrowni komedjanci naukała się nad swoim losem, nastąpi kolejny wtór. Oto naszych bohaterów, udających teraz manekiny, zaczyna bombardować kulami Kat z „Eskurialu”.

Pozwoliłem sobie na tę drobniągową wileksję, aby unocznąć czytelnikowi, iż „pożnienie” postaci i tekstów z trzech sztuk nie ma tu z sobą głębszego, logicznego związku, nie wynika, moim zdaniem, z żadnej konieczności artystycznej, poza wiatym pretekstem, iż Król wspomina o wygnaniu aktorów.

Sam „Eskurial” (od nazwy rezydencji królów Hiszpanii) oddaje wprawdzie mroczny, przepojony lekkiem przed, nieubiegana śmiercią klimat ówczesnej arcykatolickiej Hiszpanii, do nastrojów wskazuje cała rzecz się sprowadzała, zwłaszcza iż akcja co rusz „siadała”. Tym bardziej

PREMIERA W TEATRZE S. JARACZA

Szubienicze pomysły

stawienia „Czerwonej magii”. Oryginalny to twórca, uwrażliwiony na swoiste wartości i uroki flamandzkiej kultury średniowiecza, w której klimacie ukształtowało się niegdyś malarstwo Petera Breughela.

Otóż nasz premierowy „Eskurial”, którego tekst literacki dostarcza materiału scenicznego na nie więcej z pewnością niż trzy kwadransy, uzupełniony został fragmentami innych sztuk tegoż autora, na zasadzie jednak całkowitego kamuflażu. Po prologu, stanowiącym jakby taniec śmierci, z udziałem wszystkich dramatis personae, akcja przedstawienia zaczyna się od przeniesionej wernie piątej sceny sztuki „Kram Karoliny”, w której występują (wśród innych postaci) Kolombina, Pierrot i Arlekin, a ściślej mówiąc wędrowni aktorzy, którzy w swym długim życiu wcielali się w postaci komedii dell'arte i szukają teraz spokojnej przystani na resztę swoich dni. Tak więc docepiono ich do „Eskurialu”. W tekście jednak dają się słyszeć wstawki, których w obu wymienionych sztukach nie ma, lecz zapożyczono je, wraz z górującą w tle szubienicą, z farsy „Sroka na szubienicy”, gdzie znów wypowiada ją całkiem inne postacie. Dotyczy to kwestii o niezmiennej naturze władzy i o funkcji terroru, zresztą w formie sentencji i aforyzmów, co ma zapewne przydać przedstawieniu wymowy ponadczasowej.

— Zgodnie z rozpowszechnionymi także i u nas poglądami estetycznymi, muzyka stanowi przekaz uczuć. Czy pani — jako kobieta a zarazem muzyk i młoda kompozytorka — zgadza się z tym stanowiskiem?

— Ogólnie zgadzam się. Dodałabym jednak, że uczucia są w muzyce przetwarzane i mało konkretne. Muzyka to przecież najbardziej abstrakcyjna ze sztuk.

— Zdaże się, że nieobecność państwa zapatrywania Schopenhauera, ujmującego emocje obecne w mu-

miejszność budowania formy. Muzyka trzeba słyszeć wewnętrznie i potrafić rozplanować dramaturgię.

— Studia ukończyła pani w Łodzi w zakresie teorii muzyki a dopiero potem — u prof. Bronisława Kazimierza Przybylskiego — w dziedzinie kompozycji. Co jest pani podstawowym kapitałem wniesionym z kompozytorskich studiów?

— Prof. Przybylski rozwijał te umiejętności, o których mówiłam przed chwilą. Przyzwyczaił mnie

Kompozytor artystycznie dojrzewa przez długi czas. Z muzyki XX wieku najbliżsi są mi — Penderecki (z I okresu twórczości), Messiaen, Szkoła Wiedeńska i — z punktu widzenia twórczości — dzieć — Prokofiew. Mój sposób pisania nie jest związany z systemem dur-moll. Szukam nowej ekspresji odchodząc od tradycyjnej harmoniki i melodii, m.in. w utworach wokalnych.

— Jak łączy pani pisanie muzyki z obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi?

„Szukam nowej ekspresji...”

— rozmowa z JOLANTĄ MARKOWSKĄ-STEPIEŃ.

zyce właśnie jako kategorii wyabstrahowane z życia. A skoro już mówimy o uczuciach przyobleczonych w kształty dźwiękowe, aby skomponować utwór, nie wystarczy być choćby i najbardziej uczuciową niewiastą...

— Tu tkwi paradoks. Traktowanie muzyki jako swobodnego przekazu emocjonalnego nie umożliwia, rzecz jasna, roli operacji czysto intelektualnych w procesie komponowania muzyki. Trzeba mieć po prostu, odpowiednio rzemiosło i opanowany warsztat.

— Które z umiejętności warsztatowych uważa pani za najważniejsze?

— Dokładna znajomość technicznych możliwości instrumentów, wyobraźnię kolorystyczną i u-

też do stosowania przejrzystości i adekwatnego zapisu i uczuła na inspirację pozamuzyczne.

— Czyżby chodziło o tzw. programowość?

— Zwołenniczka programowości nie jestem. Przynajmniej jeśli idzie o twórczość adresowaną do dorosłego słuchacza, bo dzieć zawsze chętniej będą słuchały kompozycji naśladowujących np. odgłosy przyrody. Taka muzyka jest dla nich bardziej komunikatywna. Ja inspirowałam pozamuzyczne polimnie jedynie jako bodziec.

— Jak natomiast wygląda inspiracja muzyczna — mam na myśli twórców, którzy na nią oddziałują?

— Tego, że z pewnych wzorów korzystam, wcale nie ukrywam.

— Zanim zostałaś mężatką i matka miałam poważne trudności wynikające z braku mieszkania. Ogromna ilość czasu pochłaniała też praca nauczycielska w Liceum Muzycznym. Teraz jestem na urlopie macierzyńskim, zajmuję się dzieckiem i domem ale czas skurczył się jeszcze bardziej. Pewnie wiele moich planów muzycznych będę musiała odłożyć na później.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST

Fraszki niektóre

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

SZKOŁA MATADORÓW

Nie wmałwiaj, mój drogi, przysłałem matadorom, że byka za rogi winni brać z pokorą!

RAJ UTRACI

W imię wyższych racji i rejonizacji, musiał odejść Adam, oraz jego madamme...

NA PAPIER TOALETOWY Z PEWEXU

Choć go w waszej kasie za dolary kupił, twierdził po niewczasie, że i tak do d...!

MEMENTO DLA BLAZA

Nie ominie swego, kto z królem w przyjaźni... Dopuszcz do tego, że ten mu się zbliżni!

APEL

Gdy cię zepra, zrób dzień indziej... Ale „wlepzu”, nie szczy!... w windzie!



Mariusz Wojciechowski i Mariusz Saniternik w „Eskurialu”.

Foto: Romuald Sakowicz

Kronika

W ub. tygodniu odbyło się inauguracyjne posiedzenie Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi. Radni wysłuchali informacji o aktualnych problemach funkcjonowania placówek kulturalnych w Łodzi, po czym ustalili formy pracy Komisji.

W ub. tygodniu, w grupie mianowanych przez Radę Państwa profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, którym wręczono akty nominacyjne, znaleźli się również łódzcy pracownicy nauki. Tytuł profesora zwyczajnego otrzymał m. in. — nauk medycznych Zenon Torzecki z Akademii Medycznej, nauk prawnych — Cezary Kosikowski z Uniwersytetu Łódzkiego. Tytuł profesora nadzwyczajnego nauk farmaceutycznych otrzymał Stanisław Petri z Akademii Medycznej.

Na pierwsze Międzynarodowe Biennale Medalierstwa Unikatowego w Warszawie nadesłano 136 prac 34 artystów z 9 krajów. Jury wyróżniło cztery zestawy prac, zaś laureatem Grand Prix został Bułgar — Bogumil Nikołow.

Już po raz dwusetny Państwowy Teatr „Arlekin” w Łodzi wystawił widowisko dla dzieci „Krawca Niteczki” Kornela Makuszyńskiego w reżyserii Aleksandra Antoniczaka. Pomysłową scenografię opracował Andrzej Łabiniak, natomiast muzykę do widowiska skomponował Bogumil Pasternak. W ciągu dwóch lat to uroczyste widowisko obejrzało 50 tys. widzów wielu województw. W dniach od 10 do 16 października br. zespół „Arlekina” przedstawił widowisko w Teatrze Lalek w Karl-Marx-Stadt. Wystąpił także w Międzynarodowym Festiwalu Muzyki i Teatru. Wizyta łódzkiego „Arlekina” w NRD to wynik współpracy nawiązanej pomiędzy Łodzią a Karl-Marx-Stadt. Niezależnie od „Krawca Niteczki” łódzcy aktorzy przedstawiają energodynamiczną widowiskową sztukę Hannu Januszewskiej „Tygrysek”, wyreżyserowaną przez kierownika artystycznego tej sceny — Stanisława Ochmańskiego.

W dniach od 3 do 23 października Muzeum Figur Woskowych z Lugano wystawił swoje eksponaty przy zbiegu ulic Mickiewicza i Piotrkowskiej w Łodzi. Będziemy więc mogli obejrzeć z bliska m. in. Gagarina, Chaplina, Stalina, Cartera, Presleya, J. F. Kennedy'ego, papieża Jana XXIII, nie mówiąc już o legendarnym... wampirze Drakuli. Organizatorzy (spółka „Ata”, tygodnik „Nowa Wieś” oraz „Gromada”) ogłosili przy tej okazji konkurs na dwie najpopularniejsze postacie, które powinny znaleźć się w woskowym gabinecie. Do tej pory wpłynęło wiele propozycji, w których podano: papieża Jana Pawła II, Józefa Piłsudskiego, Wojciecha Jaruzelskiego, Lecha Wałęsę, a także Zbigniewa Bońka, Katarzynę Figurę i in.

Na Węgrzech założono spółkę mieszaną, która wydawać będzie od października zachodniomałomiastni magazyn mody „Burda” w języku węgierskim.

Na Zamku Królewskim w Warszawie odbyło się zebranie założycielskie Stowarzyszenia Animatorów Kultury, które skupia twórców, pracowników i działaczy społecznych. Stowarzyszenie zajmie się wypracowaniem nowych rozwiązań organizacyjnych w sferze upowszechnienia kultury, m. in. przez integrację środowisk, regionów i resortów. Na przewodniczącą wybrano Ewę Starzewską.

W Stuttgarcie podpisana została umowa partnerska między Łodzią i Stuttgartem. Podpisy na oficjalnym dokumencie złożyli prezydent Łodzi Jarosław Pietrzyk i nadburmistrz Stuttgartu Manfred Rommel. Łódź jest dziewiątym polskim miastem, które nawiązało takie stosunki z miastami RFN.

Centrum Informacji Kulturalnej przygotowało na październik bogaty zestaw wydarzeń artystycznych, jakie odbywać się będą w kawiarni „W Piwnicy”, przy ul. Zamenhofa. Po recitalu Leszka Długosza, zamykającym niejako wrześniowe wydarzenia, CIK proponuje m. in.: spotkanie autorskie Józefa Robakowskiego pt. „Wideo sztuka moich myśli”, recital Elżbiety Adamiak i Andrzeja Poniedziałkiego, programy satyryczne „Siódmy etap”, wg. tekstów Janusza Oseki i program „Odbitka”, wg. tekstu Janusza Oseki i program „Errata” oraz recital Macieja Zembatego, Krzysztofa Sadowskiego i wreszcie występ Teatru „Pozna” z Jolantą Lothe.

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

(7)

To było w kwietniu, pierwszego roku ery gettowej. Getto było w tym okresie terenem licznych wystąpień głodujących mieszkańców. Na obszernej placu, który mieścił się przy ówczesnej ulicy Lutomierskiej, za pogotowiem ratunkowym odbywał się wiec zorganizowany przez resztki ugrupowań robotniczych. Miał wówczas dyżur w pogotowiu i szczegóły wydarzeń, których był świadkiem, dobrze wbiły mu się w pamięć. Czego właściwie był świadkiem? Najautentyczniejszą prowokacją, której skutki mogły być przerażające...

Lokal pogotowia obrał za siedzibę swego sztabu komisarz służby porządkowej getta, niejaki Hanemann. Z siedziby pogotowia kierował akcją, która miała rozprężyć wiec. Co kilkanaście minut informował telefonicznie Rumkowskiego o sytuacji na placu — niczym Ludendorfa informujący Hindenburga o przebiegu bitwy pod Tannenbergiem... Tylko że informacje Hanemanna były z kwadransa na kwadrans coraz bardziej alarmujące i, co gorsza, kłamliwe.

Jako lekarz dyżurny uznał, że wykorzystywanie lokalu pogotowia przez policję gotową do tego rodzaju działalności, jest niedopuszczalne, i powiedział o tym Hanemannowi, który jego protestem nie bardzo się przejął. Widząc, że Hanemann i jego ludzie ani myśli opuścić lokal pogotowia, zwrócił się do obecnego podczas wszystkich tych wydarzeń lekarza naczelnego pogotowia, doktora W., by ten zrobił, co do niego należy. Doktor W., nieścisłszy katek (miał jedną nogę sztuczną), obawiający się własnego cienia, nie zamierzał zadzierać z wpływowym komisarzem gettovej policji. A ten informował właśnie telefonicznie Rumkowskiego, że sytuacja na placu jest już tak groźna, iż on sam nie da rady i że konieczne jest wezwanie gestapo. Była to typowa prowokacja. Wiec na placu się kończył, a zebrany tam ani w głowie była jakaś poważniejsza manifestacja. Hanemann zaś, przewidując przybycie gestapo, zamknął wyjście z placu, jak też zabarykadował prowadzące z pogotowia na plac tyłne drzwi...

Wielokrotnie zastanawiał się później nad motywami postępowania tego człowieka. Musiał sobie przecież Hanemann zdawać sprawę z tego, że poleje się krew, że gestapo z przyjemnością wyróżni paruset Żydów, by zamordować swojej władzy zwierzchniej i ludności niemieckiej w Łodzi, jakie to groźne niebezpieczeństwo udało się zlikwidować — bułt Żydów! A może marzyło się ambitnemu komisarzowi, że w ten sposób pozyska sobie łaski Niemców i zastąpi starca Rumkowskiego na tronie gettowym? Lub może wyobrażał sobie, że w ten sposób utrwali coś w rodzaju wspólnoty interesów obydwu policji? W każdym razie niezależnie od motywów, jakim kierował się komisarz z żółtą gwiazdą i z opaską policji gettovej, machina prowokacji poszła w ruch. Rumkowski wezwał na pomoc gestapo.

Tego było za wiele. Wobec milczenia doktora W., powiedział głośno, co o tym myśli, ściągnął z rękawa opaskę czerwonego krzyża (paradne czapki lekarskie otrzymali później), rzucił ją przed Hanemannem na ziemię i wyszedł z lokalu pogotowia, by przyłączyć się do wiecujących. A właściwie w tym przede wszystkim celu, by ich powiadomić o grożącym ze strony gestapo niebezpieczeństwie. Zresztą cel swój osiągnął. Wiecujący rozbiegli się na wszystkie strony, przeskakując przez okalający plac mur i siłą przepychając się tylnymi drzwiami pogotowia na ulicę. Kiedy po paru minutach ciężarówka z kilkudziesięcioma uzbrojonymi esesmanami przybyła na Lutomierską, plac był pusty.

Wydarzenie to miało zresztą swój dalszy ciąg, którego był częściowo bohaterem. Tego samego wieczora został, na polecenie samego Rumkowskiego, aresztowany. Był to jedyny wypadek aresztowania w getcie lekarza. Po dwudziestu czterech godzinach wypuszczono go na wolność, dzięki ówczesnemu kierownikowi Wydziału Zdrowia, doktorowi Szykierowi, jednej z nielicznych postaci, które wytrzymały ponad wyznaczoną przez okoliczności miarę. Dalszym efektem tych wydarzeń było to, że poszukiwali z nim kontakty działacze komunistyczni, którzy pozostali w Łodzi... Ale to już zupełnie inna historia, mówiąca o próbach zorganizowania w getcie ruchu związkowego i czegoś w rodzaju ruchu oporu... O tym oczywiście w „Kronice” (poza wstępem do niej) nie ma mowy... Może kiedyś i do tej historii warto będzie wrócić.

Takimi właśnie ludźmi jak Hanemann otaczał się Rumkowski. Wielkiego wyboru, to prawda, nie miał, a i instynkt go zawodził jak starego ogara węd. Jeśli się na kimś w swoim zrozumienu zawodził, odrzucał go jak niepotrzebną szmatę. Często, jak surowy ojciec, sam wymierzał sprawiedliwość — paroma policzkami czy kopniakami. Domyślał się, że takie zachowanie nie sprzyja jego popularności, ale tak był przeświadczony o swoim racjonalistwie, że wierzył, iż wcześniej czy później wszyscy go zrozumieją, pokochają i będą mu wdzięczni...

Jakże się mylił! Dla tych, którzy przeżyli, dla tych, którzy po latach poświęcili gettu 16 lat temu i jego władcy jakieś prace czy książki. Przełożony Starszeństwa Żydów łódzkich stawał się w miarę upływu lat postacią coraz bardziej złowrogą. Odmalowywano ją w kolorze wyłącznie czarnym. Stał się uosobieniem zła — Lady Makbet i Ryszardem III w jednej osobie. Ten portret, będący efektem zafascynowania rzeczywistymi i urojonymi krzywdami wyrządzonymi zarówno jednostkom, jak i zamkniętemu w getcie społeczeństwu żydowskiemu, uniemożliwia dotarcie do jakiegokolwiek innej prawdy. Prawdy być może znacznie waż-

niejszej i bardziej skomplikowanej niż ta, którą operowano dotychczas.

„Amerykańskie wydanie „Kroniki getta łódzkiego” leży obok i pieści oko elegancką prezencją. W „Kronice” nie znajdzie czytający odpowiedzi na pytanie, które dziś, po latach trzeba wreszcie postawić. Gdyby miał tę „Kronikę” omówić, sformułowałby je mniej więcej tak: jakie właściwie postępowanie było wówczas, w czasach bezkarnego ludobójstwa, właściwe? Napisalby też w takiej recenzji, że odpowiadając na nie kierować się należy pragmatyzmem. Pragmatyzmem uwzględniającym czasy gett i obozów, w całym ich wielowymiarowym kształcie. Uwzględniającym ludobójcze, konsekwentnie realizowane plany niemieckie i beznadziejność jakiegokolwiek oporu w getcie — zamkniętym, otoczonym przez ludność przeważnie niemiecką, w którym nie było ani jednej sztuki broni. Zarówno straszliwy, paraliżujący wole głód, jak i pogardliwa obojętność świata. Co więc należało robić, jak należało postępować, by uratować jak największą liczbę Żydów? Tak postawione pytanie odrzuca w jakimś sensie inne, a mianowicie, co należało robić, by umrzeć z honorem. Nikt nie chce umierać. Nadzieję na uratowanie — tak napisalby — mieliśmy wszyscy,

ARNOLD MOSTOWICZ

Był sobie król...

nawet w najtragiczniejszych, najbardziej beznadziejnych momentach. Bo ta nadzieja wywodzi się z instynktu życia. Przewycięzenie jej jest bohaterstwem, a bohaterskie bywają jednostki, nie masy. Hitlerowcy wiedzieli, że mordowanie masowe niesie mniejszą groźbę oporu niż mordowanie pojedynczych ludzi i dlatego postępowali tak, jak postępowali...

Ale ci zagłodzeni, zamknięci w getcie, sterylizowani Żydzi nie myśleli o dobrym samopoczuciu ich religijno-duchowych spadkobierców w przyszłości. Myśleli, jak się uratować, jak przeżyć, tym bardziej że jeśli nawet wiedzieli, to co na pewno wiedzieli Czerniakow czy Rumkowski o planach hitlerowskich, nie chcieli przyjąć tej wiedzy do wiadomości. Pytanie więc, jak należało wówczas postępować, mniej dotyczy każdego ze skazanych na wygnanie. Dotyczy przede wszystkim takich ludzi, jak właśnie Czerniakow czy Rumkowski. Jak oni powinni byli postępować, jak zachować się wiedząc to, co wiedzieli?

Drobnostka...

Nie trzeba być historykiem, aby mieć świadomość, że w dziejach ludzkości żaden chyba przywódca nie stanął przed podobnym dylematem, przed jakim stanął obydwaj ci z nominacji Niemców przywódcy skurkisk żydowskich. Nigdy jeszcze historia nie obarczyła podobnym ciężarem żadnego z żyjących. To znaczy pełną świadomością losu, jaki stanie się udziałem setek tysięcy ludzi, za których są odpowiedzialni, oraz praktycznie niewykonalnym moralnym obowiązkiem ratowania skazanych od tego, pisanego im przez hitlerowskich szaleńców, przeznaczenia. Niestety Żydów gett polskich od prześladowców dzieliły druty, a nie morze, które rozwarło dla prześladowanych, zatopiło prześladowców.

Na co mogli wówczas Czerniakow czy Rumkowski liczyć?

„Pisząc o „Kronice” zadałby to pytanie inaczej: na co mieli oni prawo liczyć? Mieli oczywiście prawo liczyć na reakcję świata cywilizowanego, nie zważając nawet na to, że hitleryzm był jego wypieszczonym dzieckiem. Powinni byli liczyć na reakcję tej instytucji międzynarodowej, która nawet w świecie aryjszczyków o blond włosach i niebieskich oczach cieszyła się wielkim autorytetem, to jest na Watykan. Mieli prawo liczyć na taką reakcję, jako że cywilizowany świat i Watykan byli o wyroku wypisanym na żydostwo doskonale poinformowani. Byli też poinformowani, że wyrok ten hitleryzm wykonuje z naukową konsekwencją.

Tak można by pytanie to postawić, tylko że problem zaczyna się od momentu, kiedy obydwaj — Czerniakow i Rumkowski — zorientowali się, iż żadnej reakcji nie będzie. Potęgi świeckie i duchowe świata miały inne sprawy na głowie niż zastanawianie się nad możliwością uratowania od śmierci paru milionów Żydów, z którymi przez dwa tysiące lat były same kłopoty. Z tej strony nie mieli na co obdywać królów — liczyć.

A więc co im pozostawało? Odpowiedź jest prosta. Jakże prosta! Jeden i drugi mogli li-

czyć tylko na cud... O właśnie, tak by napisał omawiając „Kronikę”. Kiedy liczenie na sumienie świata było marną grą, liczenie na cud stawało się myśleniem jak najbardziej pragmatycznym.

Wysoki Sądzie historii! Masz wydać wyrok w sprawie dwóch ludzi, ludzi o jakże różnych formatach moralnych i intelektualnych, dwóch ludzi, na których barki spadała konieczność liczenia na cud, jeśli chcieli uratować od zagłady powierzzone im władzy i opieki setki tysięcy ludzi. I niechże Wysoki Sąd zważy: cud mógł być tylko jeden. Że Niemcy swoich planów nie zdążą wcielić w życie. Inaczej mówiąc, że aliantom uda się posłać hitleryzm do piekła wcześniej niż jemu uda się posłać resztki Żydów polskich do komór gazowych. Tylko że w wypadku liczenia na cud możliwe są dwie postawy, które ilustruje, Wysoki Sądzie, stara żydowska anegdota.

Wznosił biedny Żyd do Boga pretensje, że ten nie czyni cudu i nie pomaga mu wygrać na loterii. Pretensje były coraz bardziej gorzkie i coraz gwałtowniejsze, aż usłyszał Żyd głos z nieba, który tak do niego przemówił: — Dobrze, uczynię cud i wygrasz na loterii, ale pod warunkiem, że ty mnie z kolei pomóżesz. Ze kupisz los...

Czerniakow nie zrobił nic, by pomóc cudowi, albo też zrobił bardzo niewiele. Kiedy w lipcu czterdziestego drugiego okazało się, że cudu nie będzie, że do kłeski Niemiec daleko, a klęska Żydów została już podpisana, wybrał śmierć — jak najbardziej godną. Ale przedtem? Czy aby nie powinien był posłuchać rad prostaka z Łodzi? Nikt zresztą Wysoki Sądzie, rad tych nie słyszał. Nikt nie wie, co sobie Rumkowski i Czerniakow, gdy się spotkali w Warszawie, mieli do powiedzenia.

Bo prostak z Łodzi postanowił cudowi do pomocy. Nie na darmo przecież od dziecka u-

czył się kalkulować. Wiedział, co robi, gdy za wszelką cenę — wszelką, to znaczy najwyższą — starał się całe getto zamienić w oboz pracujący dla okupanta. Tysiące Niemców zbijały ciężkie majątki na wyzysku niewolniczej siły gettovej, a setki innych, dzięki istnieniu getta, ratowały się przed wysyłką na front.

Kalkulacja, jak widać, nie była skomplikowana. Tylko skoro rozpoczęło się tę grę o przetrwanie, grę o cud, to trzeba ją było prowadzić do końca i nie poddawać się wałkowemu. I tak sobie prawdopodobnie postanowił, Wysoki Sądzie Historii, żydowski król z Łodzi. Mało go obchodziła pogarda Czerniakowa. Może nieco więcej przejmował się opinią, jaką o nim mieli jego poddani. Opet... był jednak swoim postępowaniem i uznał, że nawet jeśli ma przeciwko sobie ludność getta, nie może się z tym liczyć. Nie mógł przecież jeździć po wszystkich ulicach getta i z trybuny swojej drożki głosić, że Bóg za pośrednictwem Hitlera wydał wyrok na swój naród wybrany i że tylko on, Mordechaj Rumkowski, zna sposób na odwrócenie boskich wyroków.

„To wszystko by napisał, omawiając „Kronikę”. A swój apel do Wysokiego Sądu Historii uzupełniłby jeszcze paroma faktami. Bo przecież getto łódzkie zostało zlikwidowane dopiero w sierpniu czterdziestego czwartego. Sumienny historyk zajrzy do kalendarza. Jeśli zechce, może zastanowić się, co by się stało, gdyby ofensywa radziecka nie zatrzymała się na Wiśle? Jeśli historyk jest fatalistą, odpowie, że i tak Niemcy zdążyliby wykończyć łódzkie getto. Niewykluczone, że taki fatalistyczny pogląd byłby uzasadniony. Ale historyk ów może dojrzeć w kalendarzu jeszcze inne wydarzenie. W lipcu tego roku miał miejsce zamach na Hitlera. Gdyby zamach ten się udał, getto żydowskie pod wodzą Rumkowskiego byłoby jedynym skupiskiem żydowskim, jakie by ocalało z rzezi...

„Kiedy więc — tak napisalby omawiając tę książkę — żadne siły na świecie nie myślały o powstrzymaniu ręki ozdobionej swastyką i uzbrojonej w cyklon, taktyka Rumkowskiego — liczenia na cud — mogła zakończyć się sukcesem. Co by się wówczas stało? Czy Rumkowski zostałby ogłoszony bohaterem narodowym? Czy potomność uznałaby go za równie zasłużonego dla ludu żydowskiego jak, nie przysięgając, Estere? I czy z okazji tego cudownego ocalenia siedemdziesięciu tysięcy łódzkich Żydów ustanowiono by święto równie radosne, jak to związane z klęską wroga Żydów Hamana — Purym? Nie! Z całą pewnością nie! Zostałby nieszczęśny król żydowski z Łodzi powieszony albo z miejsca rozszarpany przez tych, którzy dzięki niemu przeżyli. Przez tych, których uradowała w Brzezince wiadomość o jego ponurym końcu. Czyżniono by go odpowiedzialnym za śmierć ponad stu tysięcy mieszkańców getta — skazanych na śmierć z głodu, w wyniku epidemii, zaduszonych w komorach gazowych Chelma. Uznano by go odpowiedzialnym za wszystkie nadużycia, łapówki, kradzieże jego podkomendnych. Przypomniano by mu wszystkie policzki i kopniaki, które rozdawał na prawo i na lewo, jak też owe talony żywnościowe, którymi kupował sobie tych, na których mu chwilowo zależało. I może — o ironio losu! — przed powieszeniem wskazano by wzór, który powinien był naśladować — Czerniakowa...

„Z pewnością to wszystko by napisał, gdyby miał omówić tę „Kronikę” gettovej epopei. Ale też nie omieszkaby przypomnieć, że getto łódzkie przeżyło warszawskie o osiemnaście czy dwadzieścia miesięcy zmagania wojennych. A każdy dzień tych zmagania mógł decydować o losie owych skupisk żydowskich, o życiu lub śmierci setek tysięcy Żydów... I dodałby jeszcze, że ulice Bałut ani przez chwilę nie były terenem, nie były areną chaosu wynikłego z ponurej konfrontacji straszliwej nędzy i beznadziejnego głodu ze spekulacjami i szmuglerstwem grubymi pieniędzmi, jak to miało miejsce na Nalewkach czy Dzikiej. Bo i to jest prawda warszawskiego getta. Ostatni, bohater-ski akord jego historii, jakim było powstanie — akt rozpacz, gdy wykonanie wyroku na warszawskim żydostwie zbliżało się do końca, mieści się już w zupełnie innych kategoriach i wymaga zupełnie innych rozważań.

„Aha, napisalby jeszcze, że w ostatecznym obrachunku należałoby uwzględnić i ten fakt, iż z getta łódzkiego pozostało przecież przy życiu kilkanaście tysięcy Żydów, których nie zdążyła pochłonąć śmierć obozowa. Z getta warszawskiego nie pozostał prawie nikt, poza tymi nielicznymi, których przysparzała „strona aryjska”. To oczywiście buchalteria straszliwa. Jeśli jej druga pozycja nie obciąża, rzecz jasna, w niczym Czerniakowa, to pierwsza stanowi przecież jakieś pośmiertne zwycięstwo Rumkowskiego...

Tak, buchalteria to straszliwa. Tym bardziej, że nie uwzględnia wysokości stawki, która przyniosła jakże mizerną ostateczną wygraną... Tylko że ten ponury rachunek strat i zysków jest dziełem rasizmu hitlerowskiego, a żyrował go rasizm całego cywilizowanego świata...

„Tak właśnie zakończyłby omówienie książki, w której zamykał się dzieje czterech lat getta łódzkiego i res gestae jego króla...

C.D.N.

Powyższy odcinek jest kolejnym fragmentem książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia autora z czasów kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych III Rzeszy.



Łódzkie getto

Repr. Konrad Turowski

Zycie na rue Jourdan stawało się dla Ducha i Georgii coraz bardziej uciążliwe. Codziennie o dziewiątej rano dwaj opiekunowie czekali przed bramą — małżeństwo posłusznie wędrowało na przesłuchanie. Trwało to dwa tygodnie. Pewnie, że mogłoby trwać trzy dni, gdyby nie konieczność czterokrotnego tłumaczenia tego samego tekstu. Ale w przypadku Georgii powinno być łatwiej: rozmowy przebiegały po angielsku. Winny był archaiczny sposób rejestrowania dialogów, przy pomocy pióra.

Duch był przekonany, że w pokoju cały czas działa magnetofon, a zapisywanie na gorąco jego odpowiedzi jest kamuflażem, służącym mu wiadomo czemu. Nie narzekał jednak, tłumaczka była bardzo miłą i ładną dziewczyną, kiedyś nawet, gdy Vincent wyszedł na chwilę z pokoju, powiedziała Duchowi, że podobna się jej sposób rozmowy Ducha i styl życia, że chętnie spotkałaby się z nim prywatnie, gdyby nie to, że wiąże ją zobowiązanie służbowe, uniemożliwiające tego rodzaju kontakty. Ale przynajmniej potencjalnie Duch czuł w niej swoją kochankę, to wprawiało go w bardzo dobre samopoczucie.

Georgia natomiast miała niezły bał. Na jej przesłuchaniach cały czas znajdował się ten Amerykanin z NATO, którego poznała pierwszego dnia. Wyrażnie z nią flirtował, choć może był to tylko zawodowy chwyt, żeby rozluźnić klientkę, wprowadzić w niebezpieczny proceder przesłuchań trochę intymności, w której człowiek otwiera się i gada rzykowne głupstwa... Georgia czuła się w swoim sosie. Amerykanin był fajny. Powiedział jej:

— Gdyby pani znała francuski, natychmiast załatwiłbym pracę w naszej firmie. Dowcip, inteligencja, precyzja, wdzięk osobisty, to są cechy, których poszukujemy... Kiedy tylko skończy pani kurs francuskiego, proszę się do mnie zgłosić...

Georgia z dumą powtarzała ten kit Duchowi.

— Wierzysz mi? — zapytał.

— A czemu nie? Możesz sobie wyobrazić te ich sekretarki i kierowniczki...

— Głuptaku, męczą nas o to, dlaczego właśnie w Brukseli chcemy zostać, podejrzewają, że mamy rozkaz rozpracować to jakieś tam idio-tyczne NATO, a ty wierzysz, że on by cię właśnie w tym cholernym NATO zatrudnił? On chce wiedzieć, czy ty się zapalisz, czy za trzy miesiące zgłosisz się do niego ze znakomitą znajomością francuskiego, którego mogłaś przecież nauczyć się w Moskwie, czy w Warszawie, a tylko udajesz, że nie znasz...

— Za pół roku będę mówiła bardzo dobrze.

— No, to zgłoś się do tego Jankesa. Wyładuj się w kciuk, a ja z tobą. O co oni cię w ogóle pytają?

— Tak ogólnie. Rozmawiamy sobie.

— Ale o czym?

— Słuchaj, a czy ja muszę ci mówić? Ty masz swoje przesłuchanie, a ja swoje. Prosił mnie, żebym nikomu nie opowiadała, co się w pokoju dzieje.

— Co się niby ma dziać? Urządzenie tam orgie seksualne? — wzruszył ramionami Duch. — Pewnie pytają cię o to samo, co i mnie, a potem porównują odpowiedzi. Dlatego lepiej, żebyś mi powiedziała...

— Nie mam nic do powiedzenia. Może się zdarzyć, że to ja dostanę azyl, a ty nie. Wobec tego nie mam zamiaru konspirować z tobą.

Jan Duch w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że Georgia okaże się aż taką idiotką. Można przeżyć nie tylko pięć, ale nawet dwadzieścia pięć lat, i nie mieć pojęcia, z kim się naprawdę żyje. Najlepiej mają ci, którzy nic do siebie nie mówią, tylko kopulują i konsumują. Nawet wychowanie dzieci może przebiegać w milczeniu, przy użyciu co najwyżej dwustu słów. Większość ludzi na świecie tak żyje, dlaczego miałbym stanowić wyjątek — zastanawiał się.

Po piątej wracali z przesłuchań. Georgia brała prysznic, przebierała się i wybiegała do miasta. Potrafiła godzinami oglądać wystawy sklepowe na Avenue Louise, czy odwiedzać sklepiki na rue Neuve, często wchodziła do eleganckiego domu towarowego „Sarma-Lux”, by udając, że wybiera towary, dotykać pięknych opakowań, czuć w dłoniach te zagrane skarby, na które już wkrótce będzie ją stać.

Wracała podekscytowana, pełna energii i nadziei.

— Hej, obudź się! — krzyczała od progu. — Widziałam dziś znakomitą plaszcz, skórzaną, o złotym kolorze, wąski w pasie, rozszerzaną u dołu, a skórka, mówię ci, delikatna jak pól-depek niemowlęcia... Ach, Janek, gdybyś zobaczył ten plaszcz na mnie, nie mógłbyś uwierzyć, że to ja! Wyglądam, jak księżniczka. I żebyś wiedział, że taki plaszcz jest dla księżniczki właśnie: cena taka, że mi się w głowie zakręciło. Ale wiesz, będę go miała — mówiła przez zaciśnięte zęby, z takim postanowieniem, że Duch patrzył na nią z rosnącym podziwem. Tyle energii, tyle desperackiego pożądanego jakiegoś tam plaszczu! Tyle silnej woli, przemysłowości, włączonej w to pragnienie, zaprzęgniętej do tak blagiego problemu! Jakby chodziło o uratowanie życia komuś zagubionemu na pustyni, czy o zdanie koń-

cowych egzaminów na studiach, mimo długotrwałej choroby. A tu plaszcz.

Jan Duch pamiętał, jak kiedyś jechał „Fiatem” po Słowackiego w Warszawie, Georgia obok, kiedy nagle wyprzedził ich mknący z wielką szybkością „Jaguar” na brytyjskich numerach. Ten samochód, ze względu na swoje kształty, zawsze pociągał Ducha, choć technicznie „Mercedes” i BMW są lepsze.

— Takiego to się nie dorobimy — mruknął wtedy Duch.

— Co to znaczy? — krzyknęła Georgia w najwyższym oburzeniu. — Może ty się nie dorobisz! Ale ja? Będę miała dokładnie to, co chce. Taki „Jaguar” nie dla mnie nie znaczy. Przekonasz się.

Po dwudziestu latach od tamtej rozmowy Duch nie interesuje się ani plaszczami, ani samochodami, właściwie niczym, co można kupić — niczym, co nie zaspokaja potrzeb podstawowych. Georgia natomiast zmieniała co roku „Porsche” na „Porsche Turbo”, albo jeszcze inne, plaszcz ma ze sto, a oprócz tego hoduje wyszczególnione konie na swojej rozległej farmie. Georgia potrafi się ekscytować drobiazgami. Jak małe dziecko, zakupy sprawiają jej przyjemność najwyższej rangi, pokazywanie, że ma pieniądze, jest dla niej chyba ważniejsze od samych pieniędzy.

— Zabawna osobka — powiada do mnie Duch — nie przypuszczałem, że jest aż tak niepewna siebie. Broni się przed światem, choćwa za tymi przedmiotami, przesuwają się po świecie w pancerzu z przedmiotów. Sama, goła, wyciągnięta z rupieci, chyba by umarła z poczucia pustki i własnej nicości. Zrezygnowała nawet z urodzenia dziecka, bo to by wystawiło ją na kłopoty ze strony świata. Nie mogłaby dla siebie samej być istotą nawałną! Nie, dziecko zabiera dorosłemu jego sztuczną, nadmuchałą ważność, sprowadza go na ziemię.

Pani pozdrowi chłopaków

— Dziecko nie potrzebuje „Porsche’a”, ani wyścigowego konia — powiedziałem — potrzebuje całusa i przytulenia, a w tej dziedzinie pieniądze nie mają już nic do roboty.

— Odtóż to — zgodził się Duch. — Ale nie każdego stać na wyjście z teatru, w którym czuje się bezpiecznie.

Po przesłuchaniu Duch kładł się na łóżko i czytał książki, wydane przez Instytut Literacki, drugie obok „Kultury” przedsięwzięcie Jerzego Giedroycia. W Polsce te książki były zabronione, za posiadanie ich czy rozpowszechnianie można było wyładować za kraty. Teraz Duch miał okazję zanurzyć się w tych nektarach grzechu.

Na pierwszy ogień poszły dwie książki Czesława Miłosza: „Zdobyć władzę” i „Znievolony umysł”. Czyta się, mógłby powtórzyć Duch manieryczną formułkę „Przekroju”. Pierwsza z tych książek przeleciała przez Ducha bez osadu, druga zgrywała go, bo w Miłoszu, którego bardzo cenil jako poe, zobaczył małego mieszcza, grzecznego, ulizanego, który chce być tak strasznie czysty moralnie, żeby nawet na jego widok żaden pies nie zaszczekał, bezwonną czystością moralną, jak ich określał Stanisław Grochowiak.

Oceny moralne, wystawiane Tadeuszowi Borowskiemu choćby Borowski to geniusz — a Miłosz nie ma przecież pojęcia o prozie. Nie potrafi nawet pisać tak, jak Jerzy Andrzejewski. Ba, nawet widać jego piekacką zawziętą w stosunku do Jerzego Putramenta... Bo też można Putramentowi zazdrościć jego łatwości pisania, jakiegokolwiek by nie było, jego temperamentu — a przecież, nie ludzmy się, Miłosz nie ma żadnej szansy w porównaniu chociażby z krótkimi opowiadaniem Putramenta... gdyby napisał choć jedną rzecz, która silą wyraża zbliża się do opowiadania „Święta kula”. Nie. Należy wobec tego skompromitować prozaików, jako sprzedajnych, godne pożałowania typy, przeżywające w mekachs swoje moralne tragedie. Duch odłożył tę książkę z obrzydzeniem, miał uczucie, że napisał ją sprytny pięknotuch z kaznodziejskim zadaniem.

— Popatrz, jaka zabawna historia — powiedział do mnie Duch teraz, po latach — z tą dezercją Miłosza...

— Dezercja? — zdziwiłem się. — Walczysz z nazywaniem wyjazdu pojęciem ucieczka, a tu...

— Prywatna osoba wyjeżdża, nie ucieka. Ale gość, który zajmuje stanowisko rządowe, czy to w kraju, czy w dyplomacji za granicą, jeżeli wprost z tego stanowiska schodzi do innych okopów, to przecież dezertuje. Sam jestem poza krajem, ale dla mnie różnica jest jasna: ja wyjechałem, a Miłosz, Spasowski czy Rurarz zdezerterowali. Ale do rzeczy. Odtóż po dezercji Miłosza w warszawskiej „Nowej Kulturze” ukazało się opowiadanie Kazimierza Brandysa pod tytułem „Nim będzie zapomniany”. Opowiadanie z kluczem, niby jakiś malarz ucieka, ale wszyscy wiedzieli, że chodzi o Miłosza. Pamiętam scenę, kiedy autor opowiadania chodzi po galerii z Nalkowską, oglądając obrazy delikwenta, i w pewnym momencie Nalkowska powiada: „Jakież to głupie, jakież to strasznie głupie...” Nie przykladałbym takiej opinii do słynnego wtedy tomu poezji Miłosza „Ocalenie”, jego najlepszego zbioru. Ale Brandys miał swoją grę. Zanosilo się wtedy na to, że o Miłoszu w Polsce pies z kulawą nogą nie wspomni. Gdyby stalinizm osiągnął ostateczne zwycięstwo, oczywiście. Mówiliby się za to dużo o Brandysie, szczególnie o powieści „Obywatele”. No i zobacz, co z tego wszystkiego wyszło: Miłosz dostał Nobla, znany w kraju jak nigdy przedtem, a dawny stalinowiec Brandys, w szatach liberala wyjechał na Zachód i właściwie stoi dziś w tej samej „lidze obrażonych moralistów”, co Miłosz. Prasa podaje, że biorą udział w tych samych kongresach i konferencjach pisarzy, protestujących przeciw rządowi totalitarnym w rozmaitych krajach świata. Czy to nie śmieszne?

— Mądry producent zmienia linię w zależności od potrzeb rynku — powiedziałem. — Wszyscy to robimy, nie tylko tamci dwaj. Trzeba żyć.

Tak też pewnie myśleli ci, którzy penetrowali pokój Ducha i Georgii w czasie, kiedy tamci byli na przesłuchaniu. Duch pewnego razu poczuł się nieswojo po wejściu do pokoju. Pamiętał ułożenie swoich rzeczy, których nie było wiele. Miał wrażenie, że coś jest przesunięte, że w walizce bielizna znajduje się w większym, niż zwykle, nieładzie.

Kto i czego szukał, tego się Duch nie dowiedział. Ale po kilku dniach zdobył pewność, że kipsują go codziennie. Zamykał drzwi i przylepiał włos do ramy, oraz do górnej krawędzi drzwi. Po powrocie sprawdzał: włos był zerwany. Tak samo kawałki zapalek, wsadzone sprytnie do zamka, znajdowały się na podłodze.

Mogła to być pani Wróblek, konsjerżka. Miała zapasowe klucze do wszystkich pokoi. Ale przecież wystarczyłoby jej raz spenetrować bagaż klientów, z czystej babskiej ciekawości. Po co narażać się na schwytnie codzien- nie? Mógł przecież Duch wrócić z przesłuchania wcześniej.

Porozmawiał na ten temat z Muszkatulowiczem, który wydawał mu się równym, inteligentnym facetem.

— To nasze zgredy — pogardliwie zaśmiał się Antek

— Jakże znowu zgredy?

— Prezesi, sekretarze... Waleczni kombataneci, dziś na usługach belgijskiej policji. A co ty myślisz, że oni tak z dobrej woli ten hotelik dla uchodźców prowadzą? Więcej z tym kłopotów niż zysku. Ale trzeba trzymać całe to azyłowe barachło w kupie, kontrolować. Kiedyś tu jeden facet znalazł maleńki mikrofon pod łóżkiem. Wiesz, co zrobił?

— Wyrwał instalację...

— A skąd. Sprowadził kumpła, nagotowali grochówy, a potem dali koncert żyćce... Nie muszę ci mówić, jakie dedykacje posyłałi razem z muzyką.

— Ale ktoś włazi do mnie każdego dnia.

— Jeden z tych walów z biura. Oni też mają klucze do wszystkich pokoi. Kto wie, może nawet włazi w towarzystwie tajniaka. Nie dziw się, bo to, co o tobie mówią...

— Co mówią? Gadają!

— Jak kupisz flaszkę.

— Kupię.

— Ze jesteś ubek, bracie, to o tobie mówią. I to nie byle jaki Masz stopień pułkownika i zostałeś tu przystany umyślnie.

— Umyślnie? Przez kogo? Po co?

— Przez polski wywiad. Albo jeszcze ważniejszy.

— Idiotyzm. Kto takie bzdury wygaduje?!

— Nie tylko wygadują — pocieszył go Antek.

— Piszą na ciebie donosy. Ja nawet wiem, kto na ciebie pisze prawie codziennie.

— Jeden z naszych? Tu, w tym domu?

— A żebyś wiedział. Mówi się, że dostajesz po cichu forsy od polskiej ambasady, że się kontaktujesz z ich człowiekiem i donosisz mu o wszystkim, co się tutaj dzieje. Zupełna paranoja, bracie.

— Dobrze, że przynajmniej ty masz zdrowy rozsądek.

— Na twoim miejscu wyprowadziłbym się stąd. Wiesz, jak człowiek sam, to tu może wytrzymać, na zasadzie: bardach, małpi gaj. Ale masz babę, jesteś poważny gość, poeta, zwiawaj stąd, wynajmij sobie coś prywatnego, Merlo za to zapłaci. Nie ma obowiązku, żeby mieszkać tu w SPK. To nie jest przymusowe.

Duch pogadał z Georgią i postanowili wyprowadzić się, jak tylko skończą się przesłuchania.

Tymczasem przesłuchania stawały się coraz bardziej detaliczne. Vincent wypytywał o znajomych Ducha, o wszystkich znajomych. Kazał sobie opowiadać o nich szczegółowo, ze specjalnym akcentem na możliwość, że któryś z nich pracuje dla polskiego wywiadu. Duch odrzucał z oburzeniem żądania Vincenta. Oświadczył, że będzie odpowiadał konkretnie na konkretne pytania. Pierwszym pytaniem

Vincenta było więc: „Proszę podać nazwiska i adresy wszystkich pana znajomych”. Zadanie to było niewykonalne, ponieważ Duch znał tysiące ludzi, a że miał sposób bycia typu „brat-lata”, przeto każdy, z kim się na krótko zetknął, stawał się jego dobrym znajomym. Rysowała się perspektywa przeciągnięcia przesłuchań do następnego roku.

Georgia też ostatnio wracała z przesłuchań zmęczona i jakaś nieswoja. Duch wiedział, że i ją męczą o znajomych, a to każdemu człowiekowi, obdarzonemu przez los poczuciem przyzwyczajenia, musi sprawiać ból. O ile wiem, Duch nie poniżył się do wymieniania swoich znajomych — mimo iż zdawał sobie sprawę z tego, że na szali znajduje się azyl. Czy zrobiła to Georgia? Ani Duch, ani ja, nigdy nie dowiedzieliśmy się prawdy.

Ja również przeszedłem serię przesłuchań, ale wcześniej. Nie żądano ode mnie takich idiotyzmów, być może był to wynalazek Amerykanina. Po latach, będąc w Stanach jako przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej z Kanady, dowiedziałem się, że niektóre firmy u nich ogłaszają w prasie, że potrzebują pracowników i że placą na start ogromne sumy. Bardzo wielu ludzi przychodzi, każdy by chciał taką dobrą pracę. Dostają do wypełnienia ankiety, w której więcej rubryk odnosi się do ich znajomych niż do nich samych. Trzeba podać zawód, stan rodzinny i zarobki znajomego, adres i telefon, a także podać, jeśli się wie, jaki rodzaj ubezpieczeń znajomy posiada. Oczywiście, tych stu czy dwustu ludzi do pracy się nie dostaje, zaś ankiety sprytni agenci wykorzystują we właściwy sposób. Pełnią do tych „sprzedanych” nieopatrznie osób, powołując się na rekomendację petenta — który wciąż jeszcze myśli, że go przyjmą, więc w razie konieczności potwierdzi, że to znakomita firma — i starają się sprzedać jak najwięcej polis ubezpieczeniowych. Po kilku tygodniach powtarzają numer z ogłoszeniem w innej miejscowości.

Możliwe więc, że Amerykanin chciał posłużyć się tą wypróbowaną metodą w celu werbowania agentów? Diabli go wiedzą.

Ostatniego dnia Vincent poczęstował Jana Ducha cygarem i powiedział:

— Bardzo proszę, żeby pan nikomu nie mówił o naszych rozmowach ani gdzie się odbywały, nie. Ani słowa. To, co tu się działo, po prostu nigdy nie istniało. Także niech pan nie podaje nikomu mojego rysopisu ani imienia.

Tak, jakby to imię było prawdziwe — pomyślał Duch.

— I jeszcze — ciągnął Vincent — gdyby się do pana zgłosili ludzie z ambasady polskiej, czy innej polskiej placówki, z jakimkolwiek żądaniem, to proszę natychmiast do mnie zadzwonić.

Podał Duchowi kartkę z numerem telefonu. Ale nie zaszła potrzeba kontaktowania się z Vincentem. Nikt ze strony polskiej do Ducha się nie zwrócił przez najbliższe piętnaście lat.

— Teraz już sprawa azylu pójdzie galopem — powiedziała pani Wróblek na widok wchodzących do domu Ducha i Georgii. Skąd wiedziała, że był to ostatni dzień przesłuchań?

— A w ogóle, ta pani Wróblek, co to za jedna? — zapytała Georgia, kiedy znaleźli się sami w pokoju. — Czy wiesz, co się dowiedziałam? Ze ona co dwa miesiące jeździ do kraju, rzekomo z powodu, że córka jest chora. Podobno sama znalazła się tutaj z jakimś kochankiem, marynarzem, razem postanowili wybrnąć wolność, ale marynarz zwinął się, odplynął swoim statkiem, a pani Wróblek została ze złożoną, podpisaną prośbą. Z czymś takim do Polski wracać nie mogła, więc dostała azyl, przyjęto ją tu na konsjerżkę, podobno dlatego że została kochanką jednego z prezesów. Ale popatrz: na azylu, a jeździ do kraju, nie jej nie robią zło, ani tam ani tu, zupełnie obojętna osoba. Kto wie, z kim ona się w kraju spotyka, co opowiada, jakie kopie papierów z biura zawozi... I co opowiada tutaj po powrocie...

— Zazdrościsz jej? — zapytał Duch.

— A skądże! — oburzyła się Georgia. — Tylko mnie dziwi. Tak trudno jest wyjechać, azyłowiec każdy traktowany jest w kraju jak trędowaty, a tu takie układy. I to kto, taka prosta kobiecina!

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Sama mi to opowiadała. Za kilka dni znowu jedzie, na tydzień. To już czwarty raz w tym roku. Ciekawe, co o nas opowie... Dokąd lecisz?

Jan Duch biegł ze schodów, zapukał do drzwi służbowych. Pani Wróblek otworzyła, uśmiechnięta szeroko.

— Pani Wróblek — powiedział Duch spokojny, obojętnym głosem. — Pani jedzie do kraju?

— Tak, jęde. Zabrać co od pana rodziny?

— Nie, dziękuję. Tylko mam prośbę: niech pani pozdrowi ode mnie chłopaków.

Pani Wróblek patrzyła na niego z tym samym szerokim, naiwnym uśmiechem. Tylko jej szare oczy, lekko wylupaste, stały się zirkne i twardo jak kamienie.

Ciągle z tym uśmiechem, powiedziała wolno:

— Panie Duch, ja zawsze ich pozdrawiam.

C.D.N.

— Jak czuje się pan w roli jurora?

— Jest to obserwacja festiwalu od innej strony. Do tej pory widziałem go jak ktoś, kto pokazuje swoje filmy, i przeżywałem to inaczej. Myślę, że było to dla mnie ciekawe doświadczenie zawodowe, bo nigdy dotąd takiej panoramy kina polskiego w ciągu tygodnia nie zobaczyłem. Ułożyli mi się pewne proporcje, ułożyła mi się hierarchia ważności tych filmów, dostrzegłem także nieobecność pewnych tematów, pewnych sfer rzeczywistości, których tu zabrakło.

— Jakże to były tematy?

czywa na mnie jakiś obowiązek, bo wydaje mi się, że umiem robić filmy i powinienem pokazać, że filmy można robić krótko. Janusz Zaorski nakręcił teraz film „Pilkarski poker”, skomplikowany film współczesny w sensie inscenizacyjnym, w 31 dni zdjęciowych. Kiedyś taki film robiło się 60 dni.

— A zatem wraca pan do tematyki współczesnej?

— Tak, zdecydowanie, i będę chyba przez dłuższy czas drażył tę tematykę, aż znowu nie uwiedzie mnie historia.

— Czy pan się wyrzeka pol-

nych wszyscy bardzo lubimy. Namiętnie gdyby doszło do realizacji projektów, o których mówię, bardzo chętnie spotkałbym się ze starymi aktorami amerykańskimi lat 60-tych: Kirkem Douglasem, Burt Lancasterem, Jamesem Stewartem.

— Jakże cechy powinien nosić nowoczesny film?

— Przede wszystkim konstrukcją fabuły...

— To znaczy, że fabuła wraca do łask?

— Tak, fabuła wraca do łask... odchodzi się na świecie od kina

Festiwal w oczach jurora

— Rozmowa z FILIPEM BAJONEM.

— No, istnieje cała gama tematu współczesnego, który był tu poruszany niezwykle nieśmiało. Myślę, że nieobecności te wynikają głównie z polityki programowej, nie tyle nawet Komitetu Kinematografii, co z pewnych preferencji politycznych składu stanu wojennego i po stanie wojennym. Stan wojenny jest odwołany, ale on w nas cały czas jest.

— Czy ma pan nadzieję, że ta sytuacja ulegnie zmianie, biorąc zwłaszcza pod uwagę stanowisko uczestników Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich?

— Forum było niezwykle ważne. Zajęło niekwestionowane stanowisko wobec tego, co się w tej chwili w Polsce dzieje. Myślę, że był to bardzo poważny głos w dyskusji. Jeżeli w graniach decydujących o kształcie naszej rzeczywistości zapadną te sprawiedliwe decyzje, których wszyscy oczekujemy i które gorąco będziemy popierać — mam tu na myśli faktyczny pluralizm, faktyczne oddanie pewnej sprawiedliwości dziełowej „Solidarności” — to wtedy zostanie na nowo uruchomiony proces twórczy, który zatrzymał się, który się nie ujawnia, nie wychodzi w tej chwili na powierzchnię.

— Jak ocenia pan powrót Andrzeja Wajdy na łono Stowarzyszenia?

— Jestem bardzo zadowolony, wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, że pan Andrzej przyszedł na to Forum, gdyż jest to także znak pewnej normalizacji. Jest to bardzo ważne, gdyż jest to miejsce, w którym powinien się wypowiedzieć, i w którym powiedział, to co chciał powiedzieć.

— Czy skład tegorocznej jury był dla pana zaskakującym?

— Ja uważam, że skład był dobry. Przypomnę członkostwo w jury, zdałem pierwsze pytanie: „Kto będzie w tym jury?” Ponieważ nie było tam ludzi, z którymi nie zgodyłbym się usiąść przy jednym stole, zaakceptowałem propozycję.

— Czy w najbliższym czasie obejrzymy panu nowy film?

— Mam wielką nadzieję, że na początku przyszłego roku zaczęła się produkcja dwóch filmów — do filmu „Trędowaty”, który został zatrzymany w dniu rozpoczęcia produkcji w badającej 1983 roku, jest to film o stanie wojennym, i do komedii, której tytuł na razie brzmi „Bał na dworcu w Kolaszkach”, a która opowiada o słynnym ataku zimy stulecia.

— Czy oba filmy powstaną według pana scenariuszy?

— Tak jest. Oba filmy mają być pewnym eksperymentem produkcyjnym, gdyż chcę je zrobić w bardzo krótkim czasie, dwa razy krótszym, niż obowiązujące reżimy produkcyjne, które uważam za dziedzictwo pewnej epoki, kiedy robiło się filmy nie myśląc zupełnie o kondycji finansowej filmu. W tej chwili to się zmieniło, i sądzę, że spo-

skiego kina, czy pan je uzupełnia?

— Takie samoświadomościowe testy zawsze są... dość trudne. Wydaje mi się, że zająłem po prostu wolne miejsce.

— Czy reżyser jest artystą?

— Reżyser bywa artystą.

— Kiedy?

— Kiedy harmonia formy i treści dochodzi do pewnego poziomu metafory. Trochę to po grafomańsku powiedziałem, ale mniej więcej o to mi chodzi. Reżyser nie może być prostym rejestratorem, musi dokonać pewnego zabiegu, nie tylko porządkującego, ale również uwznioślającego.

— Odpowiedzialność za film spada głównie na reżysera, czy jest więc kino sztuką zbiorową?

— Jest to zdecydowanie sztuka zbiorowa, ale poziom ingerencji reżysera w nią jest różny. Zartowałem kiedyś za Andym Warholem, że reżyser jest gadżetem na planie — jak jest reżyser, to się kręci, jak go nie ma, to wszystko staje. Jest jeszcze kwestia ludzi, z którymi się współpracuje, czego się od nich chce, jak się ich uruchamia, na ile wyciągnie się z nich to, co mają najlepszego. To także zadanie reżysera. Im lepsi współpracownicy, tym większa szansa na dobry film.

— Biorąc pod uwagę upodobania czysto artystyczne, jakich aktorów zachodnich najchętniej widziałby pan w swoich filmach?

— Na cóż, jest pewna gama aktorów amerykańskich, któ-

amorficznego. Dalej, zdecydowanie wyrobiony scenariusz — w sensie puent, dialogu, konstrukcji, i pewna metaforyzacja tematu. Nie poetyzowanie na siłę, ale przez sam wybór tematu, metaforyzującego się przez samą swoją koncentryczność. Ale nie zawsze taki temat się znajduje.

— W kontekście tej pana wypowiedzi, w jakim miejscu znajduje się kino polskie?

— No, daleko. Choć dla mnie filmem metaforycznym w sensie podjęcia tematu jest „Kobieta samotna”, czy „Krótki film o zabijaniu”.

— Czy w kinie światowym dzieją się jakieś nowe rzeczy. Jeśli chodzi o warsztat filmowy?

— Dla mnie ostatnim słowem w kwestii techniki kina, w sensie nowatorstwa, był film „Mechaniczna pomarańcza”, w 1972 roku. Potem już nic mnie nie zaskakiwało.

— A jaki film widziany ostatnio zrobił na panu największe wrażenie?

— Były dwa takie filmy — „Down by law” Jima Jarmuscha, znakomity film, i „Radio days” Woody Allena.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
MACIEJ ŚWIERKOCKI

ZAKŁAD DOSKONALENIA ZAWODOWEGO OŚRODEK KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO w Łodzi, ul. Wróblewskiego nr 17

ORGANIZUJE

KURSY

- * gospodnika
- * kierownika małej gastronomii
- * tzw. minimum sanitarne dla pracowników handlu i gastronomii
- * palaczy c.o.
- * bhp i ppoż. (szkolenie podstawowe i okresowe)
- * metodyki instruktora stanowiskowego
- * zespołów wypadkowych
- * obsługi rusztowań
- * średniego sprzętu budowlanego
- * gospodarki magazynowej

Zajęcia na kursach odbywają się w wolne soboty i niedziele w godz. od 9 do 15.30, lub w poniedziałki, wtorki i piątki w godz. 16.15—20.

Bliższych informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje Ośrodek Kształcenia Zawodowego nr 4 w Łodzi, ul. Wróblewskiego nr 17, tel. 84-97-21.

2786/K



Masz temat dla reportera?

Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podites słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

6 października — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—15.

13 października — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 29 września 1988 roku.

Podczas ostatniego czwartkowego dyżuru przy redakcyjnym telefonie po raz kolejny już miałem okazję przekonać się, że naszych czytelników najbardziej denerwują i niepokoją proste, można by nawet rzec — banalne sprawy, z którymi od dawna już powinniśmy się uporać. Jest to racja często niegospodarsko fatalna organizacja, zaniedbanie podstawowych obowiązków, brak kultury... Mówi i pisze się o tym stosunkowo dużo, krytykuje, piętnuje, ale z niewielkim skutkiem, jako że te same problemy i zjawiska raz po raz wracają — także w telefonach, które w redakcji odbieramy.

Ot, choćby sprawa czystości i estetyki miasta, które w opinii tak jego mieszkańców, jak i przyjezdźców, do najczystszych nie należy. Ale czyż może być inaczej — dziwi się Józef K. — skoro na cokołe najbardziej znanego łódzkiego pomnika — Tadeusza Kościuszki na pl. Wolności — rosną sobie małe drzewka? Chyba nie, co dziwniejsze, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta zupełnie zignorował uwagę Józefa K. na ten temat, bo tam najpierw się zwrócić. Na pewno powinniśmy chronić miasteczko, ale nie jest to odpowiedź na pytanie.

Kazimierz N. dowiedział się z prasy, że w restauracji „Świątyni” odbędzie się „Dni kuchni rosyjskiej”, w czasie trwania których można będzie spróbować jak smakują narodowe potrawy Rosjan, a także — być obłożonym przez rosyjskich kelnerów. Informacja okazała się prawdziwa, dania smaczne, zaś obsługa — miła i pewno wszystkim byliby w porządku — mówi Kazimierz N. gdyby nie informacja, a właściwie jej orak. Kierownictwo lokalu urządziło bowiem „Dni” w małej salce, na boku, do której trudno trafić przeciętnemu konsumentowi, zapomnia-

jac przy tym zupełnie wskazać mu tam drogę. Wystarczyłoby jakiś plan, plakat, strzałki, jakkolwiek ślad. Niestety, nasz czytelnik takowych nie zauważył i stracił sporo czasu, zanim trafił tam gdzie chciał. W tej sytuacji nie dziwiło go już, że salka była pusta, a rosyjscy kelnerzy narzekali na brak zainteresowania ze strony łódzian. Krótko mówiąc, znowu ktoś nie pomyślał.

Przy trasie wylotowej z Łodzi w kierunku Piotrkowa znajdują się położone naprzeciw siebie dwie stacje benzynowe. Dwie, gdyż mają obsługiwać kierowców jadących w obu kierunkach bez konieczności zjeżdżania z jednej jezdni na drugą. Tak jest w teorii. W praktyce bardzo często któraś ze stacji jest zamknięta (choćby z powodu dostawy paliwa) i, chcąc nie chcąc, trzeba jednak podejść do drugiej. Nie jest to wszakże takie proste, gdyż aby znaleźć się na jezdni o przeciwnym kierunku ruchu, nie łamiąc przy tym przepisów, pokonać trzeba dodatkowo co najmniej kilometrów odcinek. Czy nie szkoda benzyny? — pyta Zygmunt R. — Benzyna, która jest przecież reglamentowana. Czy przejazd z jednej jezdni na drugą nie mógłby być przy samych stacjach? A może po prostu obie powinny być zawsze otwarte? Aż trudno uwierzyć, że tego tak „skomplikowanego” problemu nie daje się jakoś rozwiązać.

Na Retkini, za ostatnimi blokami od lat funkcjonuje przysypownia kruszywa. Od lat wyjeżdżające z niej ciężarówki, nierzadko z przy-czapami, gubią po drodze żwir, którego ślady widoczne są jeszcze w odległości nawet kilku kilometrów od przysypowni. Pomijając już fakt, że żwir na asfalcie stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa ruchu, kryje się za tym także zwykłe marnotrawstwo, gdyż nawet tego późniejsze zbieranie

kosztuje. A przecież można by temu zaradzić — twierdzi Eugeniusz D. — Wystarczyłoby przy wyjeździe z przysypowni urządzić coś w rodzaju specjalnego „toru przeszkód”, który wszyskie samochody z kruszywem musiałby pokonać i na którym spadłoby z nich to, co spada potem na ulicach. W przypadku wykorzystania pomysłu przez kierownictwo przysypowni, Eugeniusz D. nie liczy na żadną nagrodę. Może więc warto by spróbować?

Godną uwagę propozycję przedstawił również Ryszard Z., który jest wielkim miłośnikiem ciekawych lektur. Rzecz w tym jednak, że wielu pozycji — na przykład ukazujących się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego — nie może on kupić w łódzkich księgarniach, gdyż znikają z nich bez śladu pozosta-wionego na ladzie, by potem pojawić się na bazarze za dwu-, trzykrotnie wyższą cenę. Leżą też one nieraz w małych miasteczkach, pokryte kurzem, iako że tam zainteresowanie nimi jest mniejsze. A może by tak — zastanawia się nasz czytelnik — przed ukaza-niem się co bardziej interesujących książek zbierać zgłoszenia od potencjalnych nabywców i potem wysłać im je za załączeniem pocztowym? Praktyka taka miałaby i to dobra stronę, że pozwalałaby wydawcy zorientować się, jakie jest zapotrzebowanie na dany tytuł i potem trafnie dobierać skład. Niepokoje bowiem trochę, z jednych tytułów zupełnie brak, a inne zalegają księgarnie półki, by później trafić na przemian. Jedną z mieszkańek bloku przy ulicy Piotrkowskiej 182, a zamieszkuje nie tylko ja, zdumiewa, że od 11 lat nie wykorzystuje się pustych przestrzeni pod wspomnianym budynkiem. Niegdyś planowano, iż będą tam garaże, ale sprawa upadła — ponoc w wyniku braku zgody strażnicy pożarnej. Kto zawi-nił: projektant, czy wykonawca? Ale mniejsza z tym. Dziś należy pytać: dlaczego jeśli nie garaże, to nie innego? Które z wielkich miast za granicą pozwoliłoby sobie na takie marnotrawstwo miejsca w samym centrum?

To tylko niektóre z spraw, o jakich informują nas nasi czytelnicy. Nie o wszystkich jesteśmy w stanie napisać. Zdarza się, że nasze interwencje nie odnoszą żadnego skutku, i czasem rodzi się refleksja: czy o takich sprawach w ogóle powinniśmy pisać? Czy nie powinny być one załatwiane bez udziału prasy. Jest wszak tyle ważniejszych i ciekawszych tematów.

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO

w Łodzi
OGŁASZA
PRZETARG NIEORGANIZACYJNY
na sprzedaż n. wymienionych pojazdów

Lp.	Marka	Nr rej.	Rok prod.	Nr silnika	Nr podw.	% zuż.	Cena wywoław.
1.	P. Fiat 125p	LDB 916G	1984	804915	1020952	65	758.000,—
2.	P. Fiat 125p	LDB 972E	1984	1015922	1018201	70	650.000,—
3.	P. Fiat 125p	LDB 977E	1984	890825	1018547	85	325.000,—
4.	P. Fiat 125p	LDH 723B	1982	846081	1009700	75	542.000,—
5.	P. Fiat 125p	LDB 350P	1985	966820	1023164	70	650.000,—
6.	P. Fiat 125p	LDB 703P	1985	771440	1026164	70	650.000,—
7.	P. Fiat 125p	LDG 882B	1983	847260	1011032	70	650.000,—
8.	P. Fiat 125p	LDB 446B	1983	912357	1011666	70	650.000,—
9.	P. Fiat 125p	LDB 355P	1985	965428	1023118	70	650.000,—
10.	P. Fiat pick-up	LDB 416E	1984	910510	1016321	65	732.000,—
11.	P. Fiat 125p	LZA 084C	1986	1067656	1037491	60	867.000,—
12.	P. Fiat 125p	LDB 075H	1983	1014820	1067656	70	650.000,—
13.	P. Fiat 125p	LDB 616E	1984	837770	1017340	70	650.000,—
14.	P. Fiat 125p	LDB 623E	1984	928143	1018101	65	758.000,—
15.	Nysa 522S	LDB 506E	1984	299939	291657	70	637.000,—
16.	P. Fiat 125p	LDB 620E	1984	847392	1017425	70	650.000,—
17.	Nysa 522S	LDB 503P	1985	865991	305728	70	637.000,—
18.	P. Fiat 125p	LDB 364P	1985	963885	1023244	65	758.000,—
19.	P. Fiat 125p	LDB 302P	1984	878953	1023485	80	433.000,—
20.	AVIA A 21N	LDB 538V	1985	02454	011037	70	1.023.000,—

Wymienione pojazdy można oglądać w dniu 20.10.1988 r. na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2, w godz. 8—10.

Przetarg odbędzie się w dniu 20.10.1988 r., na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2, o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dniu oględzin do kasy przedsiębiorstwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego, drugi przetarg odbędzie się w dniu 3.11.1988 r., o godz. 11 na terenie WKTS w Łodzi, ul. Warecka 2. Zastrzega się prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyny oraz zmiany cen wywoławczych. Za występowanie wady ukrytej w pojazdach zakład nie ponosi odpowiedzialności oraz nie uzupełnia braków.

2739/K



Ośrodek Polskiego Komitetu Współpracy
Z ALLIANCE FRANÇAISE PRZY UNIWERSYTECIE
ŁÓDZKIM

O G Ł A S Z A

zapisy na

KURSY
JĘZYKA
FRANCUSKIEGO
zwyczajne, intensywne,
konwersacyjne

dla początkujących i
zaawansowanych do-
rosłych, młodzieży i
dzieci od 9 lat. pro-
wadzone nowoczes-
nymi metodami wg
najnowszych pod-
ręczników francus-
kich.

Sekretariat w o-
środku przy al. Koś-
ciuszki 21 (poprzed-
nia oficyna, II piętro)
tel. 33-25-85, przy-
muje zapisy w godz.
8.30—16.30.

2800/K



Instytut Innowacyjno-Wdrożeńowy

INCOM

OFERUJE USŁUGI
W ZAKRESIE:

SPÓŁKA Z O.O.

(jednostka gospodarki uspołecznionej)

w ŁODZI, plac Zwycięstwa 13

tel. 74-24-28, 74-30-38,

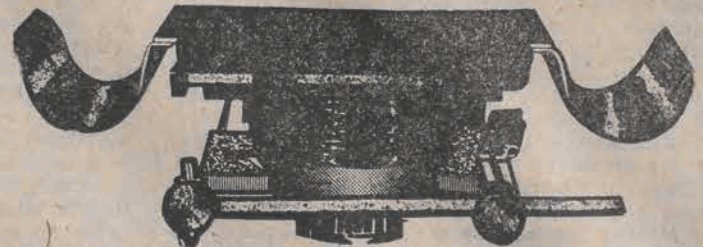
telex 885536

- OPRACOWANIA i wdrażania prac optymalizujących zużycie energii w zastosowaniach: techniki cieplnej, energoelektroniki, elektroenergetyki, inżynierii chemicznej.
- EKSPERTYZY i doradztwa technicznego, ekonomicznego i organizacyjnego związanego z uruchamianiem nowej produkcji.
- BADAŃ hydrogeologicznych, projektowania i wiercenia studni.
- ZABEZPIECZEŃ antykorozyjnych układów wodnych.
- WYNALAZCZOŚCI, patentów, wzorów użytkowych, wzorów zdobniczych, znaków towarowych (SERWIS PATENTOWY).

Dysponujemy kadrą naukową i inżynierską o wysokich kwalifikacjach. Zapewniamy krótkie terminy realizacji!

2798/K

**UWAGA
FOTOAMATORZY!**



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY

Jeżeli

- z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co najmniej 20 dobrych zdjęć!
- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i innych w urządzeniach najlepszych firm światowych.
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicznych.
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
ZAPRASZA!

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-2
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

Baltona

PHU „OTEX”
w Łodzi

PHZ „BALTONA” SA
w Gdyni

ZAPRASZAJĄ

do swoich sklepów, polecając:

ul. ZGIERSKA 22

- * sprzęt RTV i aud
- * kasety video
- * art. kosmetyczne
- * zegary i zegarki
- * zabawki i kalkulatory

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

ul. ZGIERSKA 11

- * art. spożywcze
- * napoje

sklep czynny w godz. 10—18
w soboty, w godz. 10—15

ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW!

2494 K



Rok założenia 1988

Wartość mienia	Składka w PZU	Składka w „Wescie”	Różnica na korzyść klienta
300 000	2.700	1.590	1.110
500 000	3.825	2.650	1.175
1.000 000	6.300	5.300	1.000
2.000 000	12.600	10.600	2.000
5.000 000	31.500	26.500	5.000
10.000 000	63.000	53.000	10.000

W WESCIE można ubezpieczyć wszystko na korzystnych dla Klienta warunkach: kolekcje, dzieła sztuki, biżuterię, księgozbiory, telewizory, magnetowidy, komputery, instrumenty muzyczne, anteny satelitarne itd. wg. przelicznika ceny skupu bonów PKO SA w dniu wypłaty odszkodowania.

Można nie ubezpieczać mieszkania a ubezpieczyć jego elementy wyposażenia.
ZAPEWNIAMY DAJSZE OBNIŻENIE SKŁADEK Z TYTUŁU CIĄGŁEGO WIELOLETNIEGO I BEZSZKODOWEGO UBEZPIECZENIA — 10 PROC ZA KAŻDY TRZYLETNI OKRES BEZSZKODOWY

Informacje i zawieranie umów u pośredników i w przedstawicielstwie „WESTY”



Rok założenia 1988

Przy opłaceniu składki np. 1.000 zł miesięcznie WESTA proponuje dożywotnią rentę miesięczną płatną po umówionym okresie opłacenia składek.
Renta wynosi przykładowo:

Lata opłacania składek	Wpłacone składki	Wysokość renty miesięcznej zł	Okres zwrotu wpłaconych składek m-ce.
10	120.000	6.857	18
15	180.000	13.428	12
20	240.000	27.428	9
25	300.000	42.857	8
30	360.000	61.714	6

Renta płatna od 50 roku życia, a nie później jak od 65 roku życia.

Dla dzieci kalekich, rentę mogą wykupić opiekunowie i w tym przypadku nie ma ograniczenia wieku rozpoczęcia wypłaty.

W przypadku przedwczesnej śmierci ubezpieczonego WESTA wypłacić będzie umówioną rentę rodzinną.

Informacje i zawieranie umów u pośredników i w przedstawicielstwie WESTY.

Nasz adres: PRZEDSTAWICIELSTWO „WESTY” 91-416 Łódź ul. Nowotki 8, tel. 32-58-61.

2495 K

Pojawił się we Lwowie latem 1815 r. młodzieniec na oko dwudziestoparoletni, wysoki, szczupły, o bladej cerze, lekko zakrzywionym nosie i rozbieganych, iskrzących się jak węgle, oczach. Poprzedzała jego przybycie do grodu nad Półcią stęgła plotka, że jest cesarzewiczem arakańskim, towarzyszącym Napoleonowi w jego marszu na Moskwę. Podczas odwrotu, w potyczce pod Michałiskami, stracił ponoć egzotyczny dynasta swe bagaże, a wśród nich nadane mu przez ojcę ordery: boskiej opatrności, złośliwych tygrysów i smoka strasznego.

Plotka swobodnie przekraczała granice między byłymi departamentami byłego Księstwa Warszawskiego a galicyjskimi cyrkulami, potwierdzając wieści o nieprzebranych skarbach, znajdujących się gdzieś daleko nad brzegami Gangesu, bo tu Jego Wysokość goły był jak mysz kościelna i wciąż zmykał przed tropiącymi go kozakami. Przeszedł jakoś spod Grodna na Podlasie i Lubelszczyznę, jedząc sobie sympatię nie tylko dobroduszy i łatwowiernej szlachty, ale i posesjonatów, ba, panów całą gębą, jak choćby, na wyrost nazywany hrabią, cześnik podlaski Feliks Kuczyński z Korczewa w powiecie sokołowskim.

Szeroko rozwartymi oczami patrzył na zamorskiego królewicza z bajki małego syna pana domu Oleś, w przyszłości marszałek szlachty i mąż Joanny z Wullersów — bardziej znanej jako „Pani na Korczewie” — adresatki listów Cypriana Norwida. W innym znów domu ośmioletni Lucjan Siemieński, przyszły poeta-romantyk i autor wspomnienia o tajemniczym wędrowcu, z niedowierzaniem spoglądał na konwencjonalny czarny królewicza, tak nie pasujący do opowiadań przez nianę bajek o pozłocistych szatach wschodnich władców. Niekorzystne wrażenie chłopca uległo zmianie, gdy ujrzał królewiczowskie święte: dwóch rosyjskich Arnautów w kaftanach ze złotogłowiu, białych zawojach i bogatych pasach, za którymi lśniły nabijane srebrem pistolety i kindżały. Gęste brody strażników, ich ogorzone twarze i dzikie spojrzenia wzbudzały mimo woli należny respekt. Podobno sam gospodarz wołoski przysłał cesarzewiczowi tych Arnautów oraz sekretarza osobistego, pełniącego zarazem obowiązki tłumacza, jakiegoś Persa czy Ormianina, nazwiskiem Grzegorz Sztatbej.

Kawaler orderu złośliwych tygrysów

Większość pocztowych hreczkosiejów zapewne w ogóle nie wiedziała, gdzie leży tajemnicze cesarstwo Arakanu, o którym próżno było szukać wiadomości nawet w „Nowych Atenach” — uczonym kompendium scenie wszelkich pełnym — pióra ks. Benedykta Chmielowskiego. Bywali w świecie ludzie, a szczególnie żołnierze Wielkiej Armii, przebłąkali, że krecła się u boku Napoleona mizerota jakiś z Indii rodem, a właściwie z Birmy, na której terytorium rozpoczynał się Arakan, podobity zresztą przez wojowniczych Birman, wypełniających testament polityczny swego monarchy Alaungpaja.

Mogło się zdarzyć — szepiano — że Arakańczyk istotnie znalazł się przy Napoleonie, bo Napoleon nie lubił Anglików, Anglię zarówno Birman jak i pośrodku Arakańczyków (podbili zresztą Arakan w 1824 r., włączając go wraz z sąsiednimi prowincjami do tzw. Indochin Brytyjskich), mógł więc tała cesarz synalka na wojenną terminatorię do drugiego cesarza wysłać, aby syn, wyuczony w sztuce wojennej, mógł po powrocie ciałach brzydkim Birmanom, którzy ośmielili się targnąć na niepodległość Arakanu.

Oczywiście młody królewicz nie domyślał się, jaka niespodziankę zgolią za lat kilka chłtryz Anglię jego górzystemu krajowi nad Zatoką Bengalską, urodzajnemu w ryż, kawę, bawełnę, indygo, pieprz, owoce cytrusowe, a także zasobnemu w srebro i złoto. Tymczasem szlifował lwowski bruki i zaszczycał swą obecnością uczy wydawane na jego cześć przez obywateli Lwowa, przyjmując od nich hojne dary jako zaliczke przyszłych zaszczytów i godności, gdy tylko zasiądzie na ojcowskim tronie. Na wieczną rzecz pamiątkę raczył też podyktować lwowskiemu bernardynowi relację ze swego krótkiego, lecz bogatego w przygody życia.

Najjaśniejszy Salomon Balsamin, cesarzewicz arakański, królewicz peguański, wielki książę indyjski, następca tronu obsadzonego jeszcze przez tatę Dawida VII Jozafata Balsamina (coś mi to nazwisko przypomina niejakiego Cagliostro, znanego też pod imieniem Józef Balsamo), cesarz arakańskiego, króla Pegu, przyjaciela i krewnego Najwyższego Boga i Jego Opatrzności, króla zausznice rubinowych i dwudziestu czterech baldachimów, wielkiego księcia indyjskiego, złośliwych tygrysów i smoka strasznego, srogich lwów i lampartów.

Po ucieczce z opresji na polu bitwy, za radą swego adiutanta Władysława Kossowskiego, szlachcica łęczyckiego (?), zamierzał zrazu udać się do Odessy, stamtąd do Konstantynopola, by pod osłoną firmanu sultanańskiego podążyć do Arakanu. Rzeczywistość okazała się brutalna. Najpierw w Korczewie odkryła jego ino-gnito krewna Kuczyńska, jakaś pani Pawłowska, potem plac-majork z pobliskich Łosic aresztował go i odesłał do Warszawy, gdzie tamtejszy prezes Rady Najwyższej Tymczasowej hr. Łańskoj straszył go słowami:

„Chocbyś był synem nie tylko cesarza, ale samego szatana, wolno mi z tobą czynić, co mi się podoba. Pośle cię na Sybir, a tam dopiero, dumny niewolniku, nauczysz się pokory!”

Mimo strachu udało się więźniowi raz i drugi zbiec z aresztów, uciec pogoni i przedrzeć do Lwowa, gdzie podejmował go gościnie tamtejszy gubernator Oechsner. Rychło zjednał sobie przychylność ziemiaństwa galicyjskiego, nawet powszechnie znany lichwiarz lwowski pożyczł mu pod zastaw arakańskich bogactw niebagatelną sumę 10 000 dukatów. Wreszcie jednak cierpliwość szlachcka zaczęła się wyczerpywać, gdy nie nadchodziły spodziewane skarby. Młody królewicz w bogatym przyodziewku i z pełną sakiewką pojechał dla poratowania nadwątłego trudami podróży zdrowia do podlowskiego uzdrowiska Lubienia.

I tyle go widziano. Wraz ze swymi Arnautami i sekretarzem pojawił się pod koniec 1815 r. na południowo-wschodnim cyplu dawnej Rzeczypospolitej, w okolicach Sniatynia, gdzieś między Kolumną a Czerniowcami, mając pocztową szlachtę bajdami o swych przygodach i bajecznych skarbach, które w zamian za pomoc w dotarciu do Arakanu staną się udziałem gościnnych ziemian. Łączenie, jak zapisał jeden z potomnych, mniemany cesarzewicz arakański oskubał taiwowską szlachtę galicyjską na blisko 12 milionów złotych polskich.

W pogranicznych Czerniowcach żandarmi austriacki położyli kres dalszej wędrówce grupy oszustów, okuwając w każdy pospolu cesarzewicza z sekretarzem, a także obydwu Arnautów.

Opowiadano potem, że schwytyany oszust był Żydem na służbie u rzeczywistego Arakańczyka. Gdy jego pan padł na polu bitwy, sługa zagarnął klejnoty, dokumenty i pieniądze zabitego, po czym, przedarłszy się do Galicji, ukrył się w osadzie, gdzie, również Żydem, grał rolę wracającego do kraju następcy tronu egzotycznego państwa.

I tym razem jednak oszust wymknął się sprawiedliwości, bo już w lutym 1816 r. widziano go w Warszawie, skąd po aresztowaniu i krótkim śledztwie wywieziono pod silną eskortą do Petersburga. Jego tajemnica nie została nigdy wyjaśniona.

1 Lewym okiem Wiry i zakręty

Zarówno radio jak telewizja mają zwyczaj, podobnie jak na całym świecie, ankietowania mniej lub bardziej ważnych spraw poprzez zadawanie pytań przygodnym rozmówcom, na przykład przechodniom na ulicy. W dniu 16 września redaktorzy „Muzyki i Aktualności” przeprowadzili taką miniankię stawiającą paru osobom pytanie: „Jak pan sądzi, co to jest pluralizm?”

Odpowiedzi były dość zaskakujące. „Pluralizm to jest taki, no... spokój, porządek” — mówił pierwszy zaindagowany przechodzień. „Pluralizm, no, bo ja wiem, to jest taki porządek, żeby wszystko było w sklepach, żeby było dobrze” — mówiła jedna pani. Na osiem odpowiedzi tylko jedna wypadła trafnie, że pluralizm to jest wielość, dopuszczenie do głosu wielu różnych opinii i poglądów. Cóż, w szkołach nie uczą teraz łaciny i dziwne słowo „pluralizm” wielu ludziom z niczym się po prostu nie kojarzy.

Od lat na przykład operujemy pojęciem „demokracja ludowa”, „demokracja” to greckie słowo, oznaczające rząd ludu, „demos” znaczy „lud”. Jeśli się więc powie „demokracja ludowa” — to tak jakby się powiedziało „ludowe rządy ludu”, czyli masło maślane.

W ferworze walki politycznej, w przetruciu się hasłami i epitetami łatwo o nie-male zamieszanie z poplątaniem. Przeżywamy w tej chwili wielki renesans legendy marszałka Józefa Piłsudskiego. Postać to niewątpliwie ważna historycznie, zasługująca na wielostronne studia, a także na uwiecznienie w nazwach ulic i na pomnikach. Dziwnym mi się tylko wydaje, że o te ulice i o te pomniki upominają się księża z ambony, jak to wy-czytaliśmy niedawno w „Odgłosach”. Całej kampanii przewodzi Kościół Jezuitów w Łodzi. Prasa katolicka produkuje w organizowaniu kultu marszałka. A był to człowiek inu-erentny religijnie. Poczy-tajcie Kuśniewicza „Mieszani-ny obyczajowe” — tam się przytacza rozmowy toczone w wielkopolskich dworach pol-skich, oceniające także Piłsud-skiego jako burzyciela porządku publicznego, jako — zmiłuj się Panie — socjalistę. A tu nagłe kazania i nauki z ust namaszczonego kapłanstwem.

Orzeł polski, stanowiący dzisiaj godło naszego narodu, od-sądzony bywa od tego zaszczytu, bo nie ma siły korony. I zno-wu zapomina się o tym, że przeciw legionistom Piłsudskiego nosili właśnie orzełki bez korony, że koronę dodano orłu parę lat po odzyskaniu nie-podległości, bodajże w 1922 roku.

Wincenty Witos był zwolen-nikiem reformy rolnej, co było uznane za zamach na święte prawo własności. Franciszek Magryś w swoim „Żywocie chłopca i działacza” z 1932 roku, wspomina o tym, jak to księża w kościołach wiejskich nawoływali do niegłosowania na partię Witos, groząc, że kto będzie tak głosował, powin-nie być pochowany w nie po-swiećanej ziemi. Dziś postawi-liśmy Witosowi i słusznie, po-mnik na placu Trzech Krzyży w Warszawie. Piłsudski był zawziętym przeciwnikiem Wito-sa, osadził go, jak pamięta-my, w twierdzy brzeskiej, zmu-sił do opuszczenia kraju. Je-żeli postawimy pomnik także Piłsudskiemu, a to byłoby zgo-dne z naszym prawdziwym odczuwaniem własnej historii, to nie powinno nikomu prze-szkadzać, gdyby te pomniki znalazły się w pobliżu siebie, że dwa wciely przeciwnicy będą na siebie spoglądać, już teraz pogodzeni i osądzeni w imię najwyższych kryteriów historycznych.

I to będzie też pluralizm. Pluralizm czyli uczciwe uzna-nie i przyznanie się do tego, że dzieje narodu nie płyną jed-nym wąziutkim strumyczkiem, że są bogate jak rzeka i — jak

rzeka — pełne zakrętów, wi-rów i prądów.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Państwo wszytkiemu nie podola

Powiada się niekiedy, że państwo nasze jest nadmiernie opiekuńcze. Powiada się, że ludzie zdemoralizowali się i uważają, że im się tylko nale-ży. Są to poglądy może i po-pularne w pewnych kręgach, tyle że nie do końca prawdzi-we. Zapomina się bowiem, że kiedy zaczęliśmy tworzyć nasz ustrój, to zakładaliśmy, że właśnie oświata, nauka, mieszkanka, opieka lekarska będą bezpłatne, czyli weźmie to na siebie państwo. Pamię-tam jeszcze taki moment, kie-dy ludziom wręczano klucze do nowych mieszkań. Odby-wało się to wielce uroczyste i myśle, że w archiwach Pol-skiej Kroniki Filmowej zna-lazłoby się tego utrwalone na filmowej taśmie dowody. „Odgłosy” u zarania swego istnie-nia stać było na danie jako nagrody w konkursie... mie-szkanka. Dziś stać nas góra na encyklopedię.

Państwo socjalistyczne kon-struowano właśnie w taki spo-sób, że brało ono na siebie również funkcje społeczne i organizatorskie, wyrażające się tym, że państwo buduje zło-bki, w których gwarantuje miejsca dla dzieci ludzi pracu-jących, buduje szkoły, uczel-nie, domy kultury, kina, te-atry, szpitale, sanatoria, domy wypoczynkowe — te zaczęły później budować silne przed-sięwzięcia oraz związki za-wodowe — domy opieki spo-łecznej i tak dalej. Ta rola państwa nie wzięła się jednak z niczego. Państwo nie jest bo-wiem tworem abstrakcyjnym ani nadzrędnym, nie podlega-jącym niczyjej kontroli. Pań-stwo dzieli to, co ludzie pracy wytworzą i dają państwu do podziału. Jeśli więc państwo pełni również rolę opiekuńczą, to pełni ją z upoważnienia społeczeństwa, w jego imieniu oraz z jego pieniędzy.

Gdybyśmy założyli taką sy-tuację teoretyczną, że we wszystkich dziedzinach życia obowiązują prawa rynkowe, to każdy z nas musiałby odpo-wiednio do tej teorii — też niestety teoretycznie — zara-biać. Powiniennem zarabiać tyle, abym mógł opłacić cenne w przedszkolu, szkole i na uc-zelni, za leczenie w szpitalu — zresztą, jak wróble ćwier-kają, teraz też się płaci, tylko nieoficjalnie — żeby mnie by-ło stać na wakacje i na miejs-ce w domu spokojnej staro-ci. Nie wspominać już o kolo-rowym telewizorze, magnetowidzie, samochodzie i innych podstawowych dobrach naszej cywilizacji. Ale ludzi średnio zarabiających na to wszystko nie stać. Lepiej zarabiających też. I państwo musi — przy naszej pomocy — doprowadzić do tego, żeby zależność cen i płac stała się wreszcie realna.

Państwo przeliczyło swoje możliwości. Rewolucyjnym ro-mantyzm wydawało się, że wystarczy dokonać rewolucji, a wszystko zmieni się na lepsze tak dokładnie, że całe zło zniknie z powierzchni świata. Ale praktyka obalała i rewolu-cyjni romantycy musieli stać się płaskimi realistami. Roz-budził społeczne potrzeby, których nie byli przy istnieją-cym stanie gospodarki zaspo-kojeni. A te potrzeby — w kon-frontacji z wysoko rozwinię-tymi krajami — stały się dość szybko rosne. Powstały roz-dźwięki między rosnącymi po-trzebami a realnymi możli-wościami ich zaspokajania. Na dodatek rozbuźcono ludzkie ambicje. I dziś każdy chciał-by rządzić, aby tylko nie pra-cować ciężko przy wytwarza-niu naszych dóbr doczesnych. Mamy więc rozbudowaną po-nad wszelkie miary admini-strację, funkcje poważna część spełnia, kontrolne, bo-wiem nikomu i nigdzie się nie

wierzy. Cały ten system za-rządzania funkcjonuje na za-sadzie: i ty możesz być zło-dziejem.

Państwo nasze rozwijało się według wzorów radzieckich i zgodnie z tymi wzorami wię-cej uwagi przykładano do roz-budowy przemysłu ciężkiego, energetyki i kopalnictwa niż do tych przemysłów, które przetwarzają surowkę i kopa-liny, dają gotowe wyroby po-szukiwane na rynku. Skutek tego jest taki, że wielu urzą-dzeń brakuje na rynku i lu-dzie czekają na nie w społecz-ne zarządzanych kolejkach. Społeczna praktyka coraz moc-niej podważa taki system or-ganizowania gospodarki. Dziś zrodziła się nadzieja na rady-kalne tego zreformowanie.

Praktyka obalała i obala mo-nopol państwa we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. Po prostu państwa — dzięki niskiemu poziomowi naszej pracy — na to nie stać, aby organizować i handel pietruszką, i produk-cję urządzeń przemysłowych. Oddaje się więc niektóre przedsiębiorstwa w agencje, a-by uwolnić państwo od nad-miernych obciążeń. Chciałbym więc przy tej okazji nadmienić, że nie jest to żadna here-zja.

Wiosną 1943 roku w Mos-kwie Alfred Lampe rozmyślał nad przyszłym kształtem Pol-ski. Rozmyślania swoje skreślił nie notował i tak powstały „Notatki Alfreda Lampego”, o których przez wiele lat było cicho. Otóż w tych notatkach — na podstawie analizy sił po-litycznych i społecznych w kraju, choć wieści docierały fragmentaryczne i spóźnione — widział on dużą rolę drob-nomieszczaństwa, chłopów in-dywidualnych, inteligencji. Po-stulował gwarancję „prawo-własności przemysłu średniego, drobnego, rzemiosła, chałup-nictwa i handlu”, czyli to wszystko, co zostało odrzucone według stalinowskiego wzoru, a do czego dziś powoli wraca-my. Praktyka bowiem pokaza-ła, że etapów w rozwoju spo-łecznym przeskoczyć się nie da.

Jeśli więc dzisiaj przyjdzie nam znaleźć racjonalne roz-wiązanie dla opiekuńczej roli państwa, bo państwo jej nie jest w stanie podolać, to pro-szę winy za to łaskawie nie zwa-lać na zdemoralizowane społeczeństwo, że to jego wy-lączna wina, bo to — po pro-stu — nieprawda. Zastosowano niewłaściwe rozwiązanie.

WITOLD BOROWY

3 Cień nad olimpijskim stadionem

1. Przyznaje, pomyliam się. Zakładałem, że z Seulu nasza ekipa olimpijska wróci bez medali. Wrócili z 16 medalami, w tym z dwoma złotymi. Można powiedzieć: jest do-brze! Ale przestrzegabym przed zbytym optymizmem. Nawet przed optymizmem w ogóle.

Medale zdobyli przedstawiciele dyscyplin mniej do tej pory eksploatowanych, mniej o-glądanych, mniej popularnych. To pięknie, że nasi dźdudocy są lepsi od Japończyków. Ale dżudo — boleję nad tym — nie jest tak popularną dyscy-pliną sportową jak piłka noż-na. A naszych piłkarzy w Seulu nie było. Medale dżu-doków czy kajakarzy — chwa-la im za to! — nie przykry-ją kryzysu, jaki przeżywa pol-ska piłka nożna.

Cieszy mnie srebro naszej drużyny kolarskiej, ale martwi brak dobrych wyników w wyścigu indywidualnym. Czy radując się srebrem polskiej drużyny możemy już spokojnie powiedzieć, że w polskim ko-larstwie wszystko jest już do-brze? Czy możemy powiedzieć, że ta dyscyplina sportu kryzys ma już poza sobą? Nie jestem

tego tak znów pewna. Zgo-dziłabym się z opinią, że ma się ku lepszemu.

Jestem pełna uznania dla naszych zapaśników i bokse-rów, zrobili więcej niż mogli, ale nie przesłania mi to bra-ków polskiej lekkiej atletyki. A nasi lekkoatleci byli wpraw-dzie w Seulu na Olimpiadzie, ale w tabelach wyników jakoś swojej obecności nie zazna-czyli sukcesami. Polska lekka atletyka znajduje się nadal w głębokim kryzysie. Podobnie jak polska siatkówka. Koszy-kówka i inne gry zespołowe.

Proszę mnie jednak nie po-sądzać o malkontentstwo. Sta-ram się patrzeć na sport real-nie, nie ulegać — tak u nas jeszcze rozpanoszonemu — ten-dencjom do „propagandy suk-cesu”. Łatwiej sukcesu, to naturalne. Lepiej jednak nie szukać go tam, gdzie go nie ma, bo to skracając perspekty-wę, usypia niepokój, daje fał-szywe oceny. — Narzekacie na sport — powie ten i ów opty-mista — a proszę, nasi spor-towcy przywieźli z Seulu aż 16 medali. I to ma być kryzys-owy wynik? — W odpowiedzi na tak optymistyczne widzenie spraw sportu mogę tylko pole-cić spojrzenie za Odrę. Nasz zachodni sąsiad wyszedł na drugą potęgę olimpijską. Więc lepiej nie przesadzajmy z tym optymizmem. Piszę to tak na wszelki wypadek, gdyż już wielokrotnie zdarzało mi się spotkać z takimi nadmiernie optymistycznymi opiniami, po których... przychodziło rozczarowanie. Lepiej więc dmuchać na zimne. Co właśnie robię.

2. Popieram wszystkich tych, którzy są za węgryjącą olimpiadą. Obserwując olimpijskie zmagania, uroczystości otwar-cia i zamknięcia Igrzysk, re-portaże z olimpijskiego miasta, człowiek poznaje świat, porównuje obyczaje, czegoś no-wego dowiaduje się. Oczywiście w miniaturze, mniej niż ci, którzy są na miejscu, ale za-wsze. A zatem, niech olimpiada wędruje po świecie. Za 4 lata popatrzymy — jak wszystko dobrze pójdzie — na Barcelo-nę. Miejmy nadzieję, że do te-go czasu poprawi się poziom naszego sportu. Czego sobie i wszystkim szczerze życzę!

Poza pięknem, jakie obser-wowaliśmy na naszych ekrana-ch, z Seulu przyszyły też wiadomości ponure. Po pierw-sze — doping. Po drugie — se-dziowanie.

Jeśli chodzi o doping, to spotykaliśmy się już z tym zjawiskiem nie jeden raz, ale na olimpiadzie doszło do cze-goś więcej niż przypłanie niezdyscyplinowanego spor-towca na przekroczeniu prze-pisów. Upadł młot najszybszego człowieka świata. Próbowano wprowadzić — ale zaraz zanie-chano tego — dowodzić, że to ktoś postronny, a złośliwy, wyspał mu do napoju jakiś niedozwolony środek. Ale od decyzji komisji antydopingo-wej nie ma odwołania. I Ben Johnson wyjechał z Seulu w niestawie. Doszło do kryzysu zaufania. Fakt ten ma już wy-miar moralny i rzuca groźny cień na olimpijskie zmagania. Teraz ludzie mówią: — oni wszyscy biorą, tylko nie u wszystkich udaje się to stwier-dzić. — Czy tak jest rzeczy-wiście?

Sędziowanie było w niektó-rych przypadkach fatalne. I nie o fachowość chodziło, a o stronniczość. To też rzuca cień na olimpijskie zmagania. Coś z tym olimpijskie władze mu-szą zrobić. Z dopingiem moż-na walczyć poprzez wykrywa-nie go, ale antystronniczej ko-misji sędziowskiej jeszcze nie powołano. Niejedyn sportowiec przeżywał dramat, że przegrał niezastudzenie. A byli i tacy którym było przykro, że wy-grali... niezastudzenie.

3. Zdarzyło mi się być w tym czasie na meczu w małym miejscowości w województwie sieradzkim, gdzie walczyły dwie drużyny piłkarskiej naj-niższej klasy. Młodzi chłopcy starali się naśladować swoich starszych, sławnych kolegów. Ale grali czysto. Byli kibice. Był doping — ze strony kibic-ów oczywiście. Miło było pa-trzeć.

Młodu nalało mi się do du-szy. Może ta młodzież stanie się nadzieją odrodzenia w sporcie? Mam taką nadzieję. Czy nie jestem zbyt opty-mistką?

BOGDA MADEJ

ANDRZEJ KEMPA

Udali, że nie usłyszeli słów Fulki. Niektórzy nawet odwrócili wzrok od nagiej Arne i udawali, że są zajęci urządzaniem obozowiska. Znosili chrust z lasu i układali go na żwirze nad rzeką. Dawali tym Fulce do zrozumienia, że są głodni i należy im się posiłek. Ich proste umysły odczuwały strach. Nie bali się ludzi uzbrojonych w pancerze i helmy, w miecze i oszczepy. Ale przed owym nagim osobnikiem, który ani przez chwilę nie okazał lęku, drażnił się nimi, jak z uwiecznionym w klatce dzikim zwierzęciem, odczuwali strach.

— Panie. To nie był zwykły człowiek, ale człowiek wodny — powiedział w końcu jeden z wojowników Fulki. — To był pan tej rzeki. Złóż mu, panie, ofiarę. Złóż ofiarę tej rzeki.

— Jaką ofiarę? — zapytał Fulko.

— Taką, panie — i ów wojownik nagłym uderzeniem miecza uciął głowę człowieka ze zmiażdżoną twarzą.

A potem spokojnie zabrał się do zdejmowania juków ze swojego konia. Podobnie czynili inni. Złożyli ofiarę bogowi rzeki i byli spokojni o swój los.

Fulko chwycił dłoń ręką, chcąc uśmiercić zaborcę. Wstrzymał się jednak, napotkawszy groźne spojrzenia własnych żołnierzy. Nagle pojął, że władza nad tymi ludźmi wymknie mu się z rąk jak śliska ryba. Odszedł kilka kroków i usiadł na ziemi, zastanawiając się, czy z takimi ludźmi nie jest czymś ryzykownym przedzierać się przez obcy kraj, aby dotrzeć do granic państwa Visulan i stanąć przed księżną Helgundą.

Arne ubrała się. Wyciskając wodę z mokrych włosów, zbliżyła się do Fulki i rzekła twardo:

— Opanuj się, Fulko. To był naprawdę Piastun, który wygnał Helgundę. Dlatego jest tak, że nawet klasztorna dziewczka ma czasem więcej rozumu od grafa?

— Idź precz! Do niego — splunął jej pod nogi.

— On sam przyjdzie po mnie — odrzekła. — I po ciebie.

Fulko czuł się upokorzony. Uważał się za jednego z najsławniejszych rycerzy, za najwaleczniejszego z walecznych, najsprytniejszego z najsprytniejszych, najokrutniejszego z okrutnych.

Widział Fulko leżące na piasku i obmywane wodą rzeki obdarte już do naga ciało wojownika, który uderzył Piastuną. Czy to nie dziwne, że wystarczyło jedno słowo tamtego człowieka, aby spełnił jego rozkaz, choć on, Fulko, czynić tego nie kazał? Tamten człowiek mówił coś o majestacie i o władzy. Fulko pomyślał, że podobnie jak tego trupa na brzegu obdarte już do zrozi i odcięte, tak jego obdarte do majestatu grafa i z władzy nad ludźmi.

Nie wiedział Fulko, że ów człowiek jest zaledwie o kilkadziesiąt metrów od niego, w lesie. Ze wreszcie odnalazł swego białego ogiera, przeorał się w stroju Piastuna, wskoczył na siodło i pognął w kierunku Lestków.

Do Fulki podszedł wojownik, który przed chwilą zabił tego, co zdzielił batem nagusa.

— Bog Rzeki powiedział prawdę, panie. Szukałeś brodu przez rzekę. Po co? Aby nas zaprowadzić do Krainy Zmarłych?

I pokazał dłoń drugą brzeg rzeki, gdzie z lasu wyłaniały się setki żołnierzy Paluki i w trzcinach nadbrzeżnych trwał ruch: zsławano na wodę dziesiątki tratw z bali drzewnych. Ale nie wydawało się, aby wojsko miało zamiar przepłynąć się na drugą stronę. Tak było w istocie, gdyż Paluka otrzymała rozkaz, aby przygotować tratwy dla przeprawy armii Dagona.

— Oni czekają na Piastuną — domyśliła się Arne. — A to znaczy, że za naszymi plecami też są setki wojowników.

Powiedziała to w języku Teutonów. Ale podobnie chyba myśleli żołnierze Fulki.

Nagle pięciu wojowników otoczyło Fulkę, obezwładniło go, odebrało mu miecz i nóż.

— Bog Rzeki żąda jeszcze jednej ofiary — powiedział któryś z nich.

— Jakiej?

— Twojej głowy, panie. Mój miecz jest ostry i nie będzie cię bolało.

— Arne, przemów tym ludzdom do rozsądku. Jestem chrześcijaninem i wiem, że rzeka nie ma żadnego Boga.

Arne wzruszyła ramionami: — A jednak będzie leniej, jeżeli umrzesz. Bez ciebie Piastun może nam okazać łaskę.

— Dziwka! — wrzasnął Fulko. — Czy nie rozumiecie, że

beze mnie pójdziecie do Krainy Zmarłych? Jeszcze jest dość czasu, aby stąd uciec, bo wojsko znajduje się po drugiej stronie rzeki.

Lecz kiedy rozejrzeli się wokół siebie, zobaczyli, że za ich plecami na skraju skarpy stoi ponad pięćset wojowników konnych w białych płaszczach i błyszczących pancerzach. Człowiek, którego uznali Bogiem Rzeki znajdował się wśród nich na białym ogierze, polyskiwał złotawo kamień przepaski na jego włosach i tak samo polyskiwała w słońcu drogocenna zapinka na lewym ramieniu.

— Darujcie życie grafowi Fulce, ponieważ widzę trupa człowieka, który podniósł na mnie rękę — powiedział do nich Piastun z wysokości skarpy i grzbietu swojego ogiera. — Daję wam też wybór: służbę u mnie lub drogę do Krainy Zmarłych. Ja bowiem jestem Dago Pan i Piastun, któremu król Ludwik Teutoński dał złoty łańcuch i tytuł hra-

jego oczy — niezwykle przemiłe i o groźnym wejściu. — Złóżcie broń — rozkazał Spicimir.

Ociągając się rzucali miecze, luki, tarcze i topory pod płaszczyzny nawis skarpy rzecznej i wracali do swoich koni. Fulko zrobił to jako ostatni, ale gdy chciał wrócić do konia, zatrzymał go rozkaz Spicimira:

— Ty, hrabio, pozostaw także swój hełm z pawimi piórami. Nie godzi się, abyś z nakrytą głową stał przed Piastunem.

Aż zatrząśno hrabią Fulko z beznadziejnej wściekłości. Nikt go tak dotąd nie upokorzył, a przecież przeszedł on w całym życiu już niemało. Posłusznie zdjął jednak hełm i rzucił go na stos broni, gdyż nie chciał pójść do Nawli.

Spicimir oświadczył: — Wynajął was książę Hok, abyście przeszli przez kraj Piastuną i dopomogli Łże-Helgundzie w odzyskaniu tronu Popiotłowoskich. Jesteście więc jak to psy, które gryzą z rozkazu tego, co trzyma łańcuch.

umarli i tych co się mieli narodzić, a jedną obroną i językiem porozumienia z niedostrzegalnymi siłami były czary.

Jeden z najmitów nadeptnął na okrąg wyrwany nożem Piastuną i wtedy Spicimir błyskawicznie wyciągnął miecz z pochwy i pchnął go w brzuch. — Tyś był zdracą! — zakrzyknął.

A kiedy tamten chwycił się za brzuch i upadł na ziemię, Spicimir uciął mu głowę tak, jak to czynił Piastun.

Teraz najmici zaczęli kolejno klękać przed Piastunem, a on na ich głowy kładł pole swego wyszarzonego białego płaszcza i mówił:

— Biorę cię w swoje piastowanie, otrzymasz moją opiekę, zółd, strawę i kobiety.

— A ja? — zapytał Fulko.

— Zaczekaj do zmroku — odparł Spicimir.

Do nocy było jednak jeszcze daleko. Mimo tego zapalono ogniska tak po jednej jak i po drugiej stronie rzeki, wojsko Paluki i wojsko Piastuna roz-

— Od pierwszej chwili, gdy go ujrzałam nagiego na drzewie, przeczuwałam w nim jakąś niewidzialną siłę. Aż mnie palił podbrzusze, tak go pożądałam.

— Jesteś zwykłą dziwką.

— A ty? Jesteś dziwką wojny.

Zapadał zmierzch. Arne wstała, przeciągnęła się i ruszyła brzegiem rzeki poszukując ogniska, przy którym siedział Piastun. Nikt jej nie zatrzymywał ani nie zaczepiał. Żołnierze byli syci kobiet, gdyż mieli wiele niewolnic, które właśnie odsyłali na drugi brzeg. Ta kobieta nosiła miecz u boku i może dobrze nim władała. Stała się zresztą własnością Piastuną, gdyż wszystko pozostało jego własnością, zanim łupów nie rozdał między żołnierzy.

Piastun siedział przy ogniu i jadł kawałek pieczonej wolo-winy. Na białych włosach polyskiwał mu jak gwiazda złoty kamień.

— Czego chcesz? — zapytał

(22)

placono w Jumnie złotymi numizmatami. Jeśli chciała, mogła mieć każdego. Nawet Fulko targał się u jej stóp, błagając, aby mu się oddała z dobrej woli. Bo tylko gdy naprawdę chciała, potrafiła się oddawać i kochać do utraty przytomności. Jako dwunastoletnia dziewczynka namówiła do miłości swojego ojca, a potem oskarżyła go o gwałt, za co musiał iść do kościoła w worku pokutnym, bez miecza, w kapturze. A raz zakosztowawszy rozkoszy z nią, błagał ją potem o następną miłosną uciechę, obсыpywał złotem, rabował dla niej na gościńcach, a wreszcie — gdy mu zdecydowanie odmówiła — powiesił się. Sześć lat już się kochała z mężczyznami, była nałożnicą starego księcia Hoka i dla niej zabił własne żony i ją chciała uczynić księżną. Wolała jednak uciec z Fulką, ponieważ wydawał się jej podobnym do niej, także spragnionym zmiany i przygód. Pierwszy raz ktoś nią pogardził, a ona — zamiast odczuwać do tego człowieka nienawiść — pragnęła go jeszcze mocniej.

Rozpalono duże ognisko nad rzeką. Zawolano tam Fulkę, przyszło wielu żołnierzy, a także nadziedzic Piastun. Zar od ognia już na odległość palił twarz.

— Grafie Fulko. Ten tylko ma prawo władać innymi ludźmi, kto posiada sztukę seidr. Oto rzucam do ogniska złotego solida. Wyjmij go z żaru gołą dłoń, a będziesz wolnym. Jeśli ja to uczynię, ty zostaniesz moim niewolnikiem.

To mówiąc Dago wrzucił złotą monetę w środek ogniska, tam, gdzie był największy żar.

— Nie — odparł Fulko. — Nie wyjmę tej monety, gdyż żar spali mi twarz i dłoń.

Spicimir podał Dagonowi misę pełną jakiejś gęstej cieczy. Dago umazał w niej swoją dłoń, która stała się czarna. Pomazał też ową cieczą swoją twarz, która również zrobiła się czarna. Wówczas pochylił się ku ognisku i wyciągnął z żaru złotą monetę. Przez chwilę podzierał ją na otwartą dłoń, a potem cisnął na piasek.

— Jesteś moim niewolnikiem, Fulko — oświadczył — Mam w tej chwili moc, by każdego człowieka zamienić w węźla, w wilka, konia lub żubra. Mogę też uczynić z ciebie robaka i zdeptać jak robaka.

Lestkowie odsunęli się od ogniska. Wiedzieli, że ich władca zna sztukę czarów, słyszeli o tym od wielu. Teraz jednak byli świadkami czegoś tak niezwykłego, że ogarnęło ich przerażenie.

Fulko słyszał, że na Wschodzie tamtejsze ludy znają wiele tajemnic i posługują się czarami, które darował im szatan, Pan Ciemności. Teraz czuł się już jak martwy. W ustach miał dziwną suchotę, język był jak z drewna. Z trudem wybełkotał:

— Miały być dwie gry, panie...

Piastun poszedł do rzeki, umył w niej dłoń i twarz z czarnej mazi, która je pokrywała. Spicimir wywał na ziemię czarny płyn z naczyń.

— Klękniij — rozkazał Piastun grafiowi Fulko.

A kiedy tamten klęknął i pochylił głowę, oświadczył uroczysto Dago:

— Oto niewolnika, Fulko, czynię człowiekiem wolnym. Czy potrafisz to samo? Uczynię mnie niewolnikiem, a potem wolnym? Ogień, który tu płonie i z którego wyjąłem złotą monetę, spalił wszystkie twoje przysięgi dla księcia Hoka. Od teraz będziesz dowodził swymi dawnymi ludźmi w mojej służbie. A jeśli zrobisz choć jeden zły krok, zrodzi się w tobie choćby myśl o zdradzie, pochłonie cię ogień.

Sklonił się Dago ognisku i odszedł już bez słowa, a Fulko stał jak martwy. Zdumienie i przerażenie odebrały mu wszystkie siły, nie był w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą. Ognisko rozpalalo się coraz bardziej, sięgało mu już do stóp, zaczęła się na nim tlić odzież, a on tak stał ciałem jak skamieniały, aż jego własni żołnierze w pewnej chwili rzucili się na niego, oddzielili go od ogniska i zagasiли tliące się na Fulce ubranie.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

biego, ale je odrzuciłem ze wzdą, ponieważ nie zwykłem służyć obcym królom. Zrodziła mnie zwykła kobieta, ale poczęła mnie olbrzym diatego — zabiłem niewzniezionego hrabiego Nibelunga, a potem zdradzieckiego hrabiego Fredagara. To ja zniszczyłem Smoka, który nekai Ludzi Wolnych. I to ja stworzyłem tutaj potężne państwo Polan. Zwyciężyłem Pomorców, a także Estów. Również i inne ludy podbiję i uczynię własnym ludem. Zawsze płaciłem dobrem i sprawiedliwością i zawsze odpłacano mi złem za dobro. Oto na oczach setek moich żołnierzy rozsiękano ciało księżnej Helgundy, ale książę Karak wynalazł jakąś kobietę i nazwał ją Helgundą, rozszczępc sobie prawa do tronu Popiotłowoskich. Czy w sprawiedliwej sprawie posłał was tutaj książę Hok? Czy chcecie służyć prawdziwie czy kłamstwu? Uczylem się u cesarza Rhomajów sztuki rządzenia ludźmi, posiadam nauki wolne od rozumu i zależne od rozumu, nikomu z was nie uczyniłem krzywdy, a jednak smagnięto mnie tutaj batem. Dlaczego?

Milczeli. Przerazła ich tak nagle odkryta potęga Piastuna, o którym myśleli, że jest jakimś nieznaczącym wodzem plemiennym. — Okaż im, panie, łaskę. Nie znali cię przecież — wstawiła się za nimi Arne.

Upomniął ją Piastun: — Zamierz kobietę. O twoim tylko zadecydujemy później, teraz rozmawiam z mężczyznami.

I zwrócił się do kogoś w tłumie otaczających go rycerzy. — Wystąp, Spicimirze, który rozumiesz nie wypowiedziane przeze mnie słowa i rozkazy. Uczyni to, o czym myślę.

Na krawędzi skarpy wyjechał wojownik niskiego wzrostu, z garbem na piersiach i twarzą pooraną bliznami. Miał złoczoną kolturę i biały płaszcz oraz długi miecz frankoński. Mógłby wzbudzić śmiech swoją pokręconą sylwetką, gdyby nie

Nasze prawa mówią, że ten, kto pomaga Łże-Helgundzie i godzi w Piastuną zasługuje na stryczek, ale wy nie znacie naszych praw. Tedy słysząc niewypowiedziane przez Piastuną rozkazy, powiedziałam wam, że możecie wybrać: powróćcie wolno do Jumnal albo stać się psami łańcuchowymi Piastuna. Nie dotyczy to jedynie hrabiego Fulki.

— Dlaczego? Ja też chcę mieć możność wyboru — zawołał hrabia. — Tak samo jak oni zostałem wynajęty przez Hoka.

— Ty, hrabio, zagrasz z Piastunem w zaczarowaną grę. I to po dwakroć. Reszta zaś będzie wybierać. Kto przejdzie przez narysowany na piasku tajemny znak Piastuna i okaże szczerość w służbie dla niego, żywym zostanie i będzie mu służył. Kto okaże fałsz i zdradę, zginie. Kto nie chce przejść przez znak, niechaj bezbronny wraca do Hoka.

Zeszkoczył Piastun ze swego białego ogiera, a potem na piasku nadbrzeżnym narysował ostrzem swego noża tajemny znak.

Spicimir dał ręką znak i wszyscy najmici zaczęli przechodzić przez magiczny znak na piasku, starając się go nadeptnąć. Ich serca pełne były lęku, ponieważ wierzyli w magiczną moc wszelkich znaków. Otaczający ich świat rządził się nieznanymi prawami, wypełniały go duchy tych, co

mawiało ze sobą nakrywając ogniska płaszcami lub je odkrywając przez co dym nagle zniknął lub się ukazywał na niebie. Potem ponad trzydzieści tratw przedostało się na prawy brzeg Nocy, posadzono na nie niewolników i niewolnice, które odpłynęły na lewy brzeg. Wojsko Piastuna miało się przeprawić dopiero nazajutrz. Żołnierze położyli się przy ogniskach, najmitem zwrócono broń i też im pozwolono zasiąść przy własnych ogniskach.

Arne i grafi Fulko siedzieli osobno, tylko we dwoje. Obydwój milczeli, zastanawiając się nad zadziwiającą zmiennością własnych losów. Przeglądali się ruchliwie krzątanie żołnierzy, tratwom, ogniskom po obydwu stronach rzeki.

— To zadziwiające — odezwał się w końcu Fulko — że Hok, Obodryci i Wilkowie tak lekceważyli wieści o owym Piastunie. Nie mają pojęcia, że jest tak dobrze zorganizowany i ma potężną armię. Pewnego dnia spadnie na nich jak orzeł. Wiedziałas tego białego ptaka, którego noszą na tarczach? To właśnie jest orzeł. Co on z mną zrobi?

— Zagrasz z Piastunem w zaczarowaną grę — wzruszyła ramionami Arne.

— Nic cię nie obchodzi mój los, choć mówiłaś, że mnie kochasz i żyć bez mnie nie możesz. Wydaje ci się, że swoim tyłkiem uratujesz życie. A może on odda cię swoim żołnierzom? — To możliwe — westchnęła.